

Frances Myles

**NIE ODCHODŹ
DZISIEJSZEJ NOCY**

1

Miejsca w Boeingu 747 były zajęte tylko w połowie. Christine Nyland schowała małą, szarą torebkę i lekko wzdychając zanurzyła się w fotelu.

Ból głowy miała już po południu, lecz od kilku minut stał się on nie do wytrzymania. Przycisnęła palce do skroni i zamknęła na moment oczy.

W zasadzie nawet jej nie dziwiło, że czuła się tak podle. Ostatnie dni miała rzeczywiście dosyć wyczerpujące. Od czasu przyjęcia nowej posady, posady sekretarki w Ekwadorze, jej życie stało się jednym wielkim wirum.

Kiedy wreszcie zrobiła już wszystkie zakupy i spakowała walizki, przyszło najgorsze i najcięższe: pożegnanie z rodziną. Po raz pierwszy zdała sobie sprawę, jak bardzo zależy jej na matce, ojcu i rodzeństwie...

Matka wzięła sobie nawet wolne, aby odwiedzić ją do Nowego Jorku.

Christine przesiadła się na miejsce koło okna, w nadziei, że zobaczy jeszcze raz matkę. Niestety, nie mogła nic dojrzeć: zachodzące słońce odbijało się w olbrzymich, szklanych ścianach hali odlotów.

Wyobraziła sobie matkę stojącą samą w tłumie ludzi i wpatrującą się w samolot. Łzy napłynęły jej do oczu.

Otarła je szybko, a następnie powoli oparła głowę na siedzeniu.

(„Jestem z ciebie dumna” — wyszeptała niska, siwa kobieta i przycisnęła córkę do siebie. — „Ty jesteś moim jedynym dzieckiem, które idzie w świat. Żadne z twoich braci i sióstr nie miałyby tyle odwagi”.)

Huk silników samolotu przeniósł Christine znowu w terażniejszość. Odgarnęła z twarzy sięgające jej do ramion blond włosy.

Ból głowy doskwierał coraz mocniej. Powinna coś zjeść. Ze zdenerwowania przed podróżą nie mogła wziąć kęsa do ust. Do tego jeszcze tak mało spała...

Myślamy wróciła do Twin Riwers, małej osady, gdzie się urodziła i wychowała.

Po szkole znalazła posadę w bankii w Buffalo. Dwa lata, dzień po dniu jeździła tam wcześniej rano autobusem, a wracała wieczorami, zawsze do tego samego małego domu na farmie. Czasami miała dosyć zamieszania, które wywoływało rodzeństwo i jego gromadka dzieci. Ale to był przecież jej rodzinny dom.

Kiedy w zeszłym roku skończyła dwadzieścia jeden lat, zrozumiała, że w jej życiu trzeba mieć coś więcej, niż tylko codzienne siedzenie w banku i pilnowanie siostrzeńców. Coraz bardziej pragnęła wyrwać się w świat. Aż pewnego dnia natknęła się w banku na ogłoszenie, że poszukuje się sekretarki ze znajomością języków obcych do filii w Ekwadorze.

Ekwador! W swych marzeniach wędrowała raczej do Rzymu, Paryża, Londynu... Nie wiedziała nawet, gdzie leży Ekwador. Ale cóż to szkodziło? Była tam filia banku, w którym pracowała. Filia, która po-

szukiwała kogoś z takimi umiejętnościami, jakie akurat ona posiadała. Wystarczyło więc tylko poprosić o przeniesienie.

Nie mogła o niczym więcej myśleć. Wreszcie miały się jej przydać dwa lata nauki hiszpańskiego. Posada zdawała się wręcz stworzona dla niej. Z drugiej strony, kandydatek musiało być wiele, więc Christine wołała nie robić sobie większych nadziei. Obawiała się także reakcji rodziców, nie wiedząc, jak ustosunkują się do jej planów.

Mimo wielu wątpliwości już następnego dnia wysłała zgłoszenie. A teraz, niecały miesiąc później, po raz pierwszy w życiu siedziała w samolocie i za chwilę miała wyruszyć na spotkanie z niepewną przyszłością.

Samolot zaczął już kołować. Wytoczył się na pas startowy, wreszcie oderwał się od ziemi. Christine aż wstrzymała oddech, czując, jak wlatuje niebo.

Znowu poczuła ból głowy. Zaczęła szukać w torebce tabletek, ale bez skutku. Zaraz, zaraz... stewardesa powinna mieć jakąś podręczną apteczkę. Nacisnęła na przycisk obok oparcia i czekała.

Przez mgłę mogła dostrzec w dole domy przedmieść. Sprawiały wrażenie dziecięcych klocków. Potem widziała już tylko skłębione chmury oraz nie kończący się, niebieski ocean.

Kilka minut później samolot skręcił na południe i przez cały czas, aż do lądowania w Miami, leciał nad lądem. Christine spoglądała teraz z góry na zielone lasy i wzgórza. Ich widok znowu przypominał jej o rodzinnym domu, przyprowadzając dziewczynę o bolesny skurcz gardła.

„Co mnie czeka w przyszłości?” — pytała sama siebie. Jej dotychczasowe życie biegło bardzo spokojnie, utartą drogą. Szkoła, przygotowanie do zawodu, rok lub dwa lata pracy w banku... Potem zapewne pojawiłyby się jakiś miły chłopak, za którego by wyszła...

Zrezygnowała z tego dla nieznanego jej zupełnie świata. O Ekwadorze wiedziała tylko tyle, ile przeczytała w przewodnikach. Stolica nazywała się Quito i leżała w Andach, na wschodnim wybrzeżu Ameryki Południowej. Dawniej Quito było północną siedzibą królów Inków, dziś stało się centrum sztuki i kultury „Florencją Andów”.

Samolot osiągnął wysokość przelotową. Napis nad siedzeniem zgasł. Christine mogła już odpiąć pas i rozprostować nogi.

Wciąż nikt do niej nie podchodził. Christine rozejrzała się, kilka rzędów dalej obie stewardesy rozmawiały z kimś, zasłoniętym przed jej wzrokiem. Nacisnęła jeszcze raz przycisk, nic to jednak nie dało. Próbowwała zwrócić na siebie uwagę ruchem ręki, ale i to nie odniosło skutku. Obie stewardesy paplały z ożywieniem, chichotały, bawiły w najlepsze. Jedna z aich. przesunęła się w pewnej chwili na bok, pozwalając Christine dostrzec, komu poświęcały całą uwagę.

Tak jak się domyślała, był to mężczyzna, i to przystojny. Wyglądało na to, że i on bawił się równie dobrze jak dziewczęta; gestykulował z werwą, co chwila pokazując, w uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

Nawet w tym stanie Christine musiała zauważyć

jego zmysłową urodę. Ciemna skóra, czarne oczy i także włosy nadawały mu rasowy wygląd, podkreślały to jeszcze wystające kości policzkowe i lekko skośne oczy.

Przypomniał jej fotografię pewnego Indianina z Andów, którą widziała w jednym z prospektów. Pełen dystynkcji sposób poruszania się i drogie, modne ubranie kazały jej jednak przypuszczać, że należy do wyższych sfer.

Christine ściągnęła śmiesznie usta. Ten mężczyzna nie przepuszczał najwidoczniej żadnej okazji do flirtu. Była pewna, że celowo wykorzystuje swą pewność siebie i czar, aby wyrzucić wrażenie na kobietach.

W banku też spotykała często klientów, którzy swoim wyglądem chcieli wzbudzić zainteresowanie u kasjerek i przez to osiągnąć zaplanowany wcześniej cel. Nierzadko udawało im się. Christine mogła jeszcze zrozumieć, że niedoświadczone dziewczyny z Buffalo dawały się nabrać na takie zaloty. Dlaczego jednak ośmieszały się przed tym przystojniakiem te dwie, zapewne inteligentne, stewardesy?

Nacisnęła jeszcze raz przycisk, choć z góry wiedziała, że nie ma to sensu. Było jej niedobrze. Ból głowy stał się nieznośny. Nie mogła już dłużej czekać.

Wciągnęła głęboko powietrze, żeby zawołać stewardesę. Wydała z siebie jednak tylko jęk. Widziała jak mężczyzna podniósł głowę. Ich spojrzenia spotkały się i Christine spostrzegła w jego oczach irytację.

Odpowiedziała mu wściekłym spojrzeniem, po czym zwróciła się do stewardesy, która nareszcie zdecydowała się podejść. Dziewczyna z szykownym toczkiem

na włosach nie uważała nawet za stosowne przeprosić Christine, ale na jej życzenie przyniosła natychmiast tabletkę i szklanę wody.

Christine opadła na oparcie i już po chwili poczuła ulgę. Zamknawszy oczy, przysnęła na moment w oczekiwaniu aż bóle całkowicie znikną.

Obudziła się, kiedy serwowano ciepły posiłek. Jadła z dużym apetytem. Potem wstała, żeby pójść do toalety. Chciała się trochę odświeżyć. Nagle poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. Podniosła głowę i zobaczyła naprzeciwko ciemnowłosego mężczyznę. Jego wzrok był zimny i pogardliwy, że aż się zachnęła.

Ten sam intensywny wzrok czuła na sobie, wracając. Kiedy doszła do swojego miejsca, była szczęśliwa, że znowu może usiąść. W tym momencie zarządzono przez głośnik zapięcia pasów. Samolot zbliżał się do lądowania w Miami.

Christine, wraz z innymi pasażerami, czekała w hali odlotów na połączenie do Quito. Przy kasach kilku podróżnych z jej lotu rozmawiało nerwowo z pracownikiem linii powietrznych. Wyłapała z tego kilka słów: „opóźnienie”, „nocleg”... Zbliżyła się.

— Problemy techniczne — wyjaśniał pracownik.
— Lot do Quito opóźni się około dwunastu godzin. Przenocują państwo w hotelu, naturalnie na koszt naszych linii.

Zaczął rozdawać karty hotelowe. Christine poczuła irytację. Nie liczyła się z taką sytuacją. Wypełniając kartę z trudem powstrzymała drżenie rąk.

Kiedy podniosła wzrok, zauważyła niedaleko męż-

czyznę z samolotu. Drgnęła. W niezrozumiałym przypływie gwałtownej niechęci podniosła swój bagaż i pośpieszyła do autobusu, który miał ją zawieźć do hotelu.

Hotel urządzony był nowocześnie i dużo wygodniej niż ten w Nowym Jorku, w którym nocowała z matką. Christine nie miała jednak nastroju, by zachwycać się tym. Była zmęczona i rozdrażniona nieoczekiwanym opóźnieniem.

Położyła walizkę na pokrytym pomarańczową kapą łóżku i weszła do łazienki. Szybko ściągnęła z siebie ubranie w nadziei, że prysznic poprawi jej samopoczucie. Kiedy odkręciła kurek, miała wrażenie, że słyszy pukanie do drzwi pokoju. Na moment zakręciła kran, ale odgłos się nie powtórzył. W końcu upewniwszy się, że było to złudzenie, oddała się piieszczocie strumieni wody. Nie pomyliła się — kąpiel podziałała na nią kojąco, przynosząc nieopisaną ulgę. Wycierając włosy, poczuła się po raz pierwszy od wielu godzin całkowicie odprężona.

Zaplanowała sobie, że przekąsi coś w hotelu, a potem, jeszcze przed pójściem spać, obejrzy Miami. Gdy jednak wreszcie wyszła z wyłożonej kafelkami wanny, ponownie rozległo się pukanie, a właściwie wręcz walenie do drzwi.

Przeraziła się. Czyżby pożar? Nie słyszała przecież alarmu...

Nerwowo rozejrzała się za czymś, czym mogłaby się okryć; w końcu chwyciła płaszcz przeciwdeszczowy, rzucony wcześniej na oparcie krzesła. Założyła go na

mokre ciało, podbiegła do drzwi i otworzywszy je gwałtownie, zastygła zaskoczona. Przed nią stał mężczyzna z samolotu.

— Od pół godziny dobijam się i dzwonię! — krzyknął, zanim zdołała cokolwiek powiedzieć. — Czy pani jest głucha?

Na moment aż zaniemówiła. Stała niczym słup soli, podczas gdy nieznajomy mierzył ją wzrokiem od stóp do głowy, przyglądając się jej mokrym włosom, przyklejającym się do głowy, rosnącym na jej płaszczu plamom wilgoci i wzbierającej pod stopami kałuży. Jego twarz rozpogadzała się z wolna.

— Jeśli chodzi o mnie, mogła się pani nie ubierać — powiedział zupełnie już spokojnym głosem i uśmiechnął się złośliwie. Christine poczuła się tak, jakby jej płaszcz zrobiono z przeźroczystej folii. Oczy mężczyzny załśniły tajemniczo. — Chcę tylko zabrać swoją walizkę, którą pani omyłkowo wzięła.

— Pańską... pańską walizkę? — wyjąkała. Miała ochotę zapaść się pod ziemię. Z trudem próbowała wrócić do równowagi. — O czym pan mówi? Pan się myli. Nie mam pańskiej walizki.

— Obawiam się, że jednak tak — odparł, nie spuszczać z niej wzroku.

Christine nie mogła w ogóle zebrać myśli, zmieszana beczelnym zachowaniem mężczyzny.

„Jak ja muszę wyglądać?“, myślała ze złością. Czuła napływającą na policzki krew. Odwróciła się, nie chcąc pokazać po sobie zmieszania. Zrobiło jej się zimno — bosa stopy marzły od dotyku podłogi, a z włosów spływała na kark lodowata woda.

Mężczyzna wybuchnął nagle śmiechem. I w tym momencie zakłopotanie Christine raptownie znikło. Dziewczynę ogarnęła fala wściekłości. Jak ten arogancki typ śmiał nachodzić ją bez najmniejszego zaproszenia i jeszcze w dodatku pozwalać sobie na kpiny!

Spojrzała w stronę łóżka, na którym leżała walizka, i wyprostowała się najbardziej, jak tylko umiała.

— Ciesz się, że mogłam przysporzyć panu trochę rozrywki — wycodziła chłodno. Ale teraz muszę niestety zepsuć panu zabawę. Nie mam pańskiego bagażu. I jeśli natychmiast nie opuści pan mojego pokoju, zawołam dyrektora hotelu i każę pana wyrzucić!

Uśmiech znikł z twarzy nieproszonego gościa. Zrobił dumną i wręcz odstręczającą minę.

— Z wielką ochotą podporządkuję się pani woli — odpowiedział lodowato — gdy tylko odda mi pani moją walizkę. Mam w niej ważne dokumenty. Nie opuszczę tego pokoju, dopóki ich nie odzyskam.

— Powiedziałam panu przecież, że nic o niej nie wiem. Tu na łóżku mam tylko tę, a ona należy do mnie — wskazała na swój, jeszcze zamknięty bagaż.

— Ach, tu jest! — krzyknął, odsuwając Christine na bok. Podeszedł do łóżka i jak gdyby nigdy nic, chwycił walizkę.

— To niesłychane! — zaprotestowała z oburzeniem. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna wołać o pomoc. — Proszę to natychmiast oddać! — krzyczała, gdy mężczyzna opuszczał pokój.

Nie zwracając na nią uwagi wybiegł na korytarz, odstawił jej bagaż i po chwili wrócił z innym wyglądającym identycznie.

— Jeśli jest pani taka pewna, że to pani własność, załóżmy się — zaproponował z uśmiechem. — Powiedzmy o kolację, zgoda?

Jeszcze raz wszedł do pokoju i położywszy zamasyżście walizkę na łóżku, otworzył ją i triumfalnie wyciągnął ze środka przeźroczystą koszulę nocną.

— Czy nadal jest pani przekonana, że to moje? — zapytał złośliwie. Potem uśmiechnął się nonszalantcko i stwierdził — Różowy nigdy nie był moim ulubionym kolorem.

Christine spoglądała raz po raz to na koszulę, to na swoje ubrania. Jeszcze przed chwilą była przecieź pewna, że miała rację.

Mężczyzna tymczasem wyciągał i rozkładał przed nią kosmetyki, przybory toaletowe oraz przejrzystą bieliznę.

Poczuła, że się rumieni. Kolana ugięły się pod nią, aż musiała usiąść na łóżku.

— Gdzie... skąd pan ją ma? — wyjąkała.

— Zanim odpowiem, powinna pani wstać, inaczej całe łóżko będzie za chwilę mokre.

Christine podskoczyła i z przerażeniem spojrzała na wilgotną plamę, jaką zrobiła na kapie.

— To da się łatwo wyjaśnić — ciągnął. — Wzięła pani mój bagaż, kiedy staliśmy obok siebie w hali lotniska i wypełnialiśmy karty hotelowe. A teraz, skoro udowodniłem, że miałem rację, powinna się chyba pani spokojnie przyznać do pomyłki. Zapraszam panią na drinka. Zapomnijmy o nieporozumieniu i śmiejmy się z tego.

Policzki paliły ją coraz bardziej. Świadomość, że

zrobiła z siebie idiotkę, a także zuchwałość z jaką zachowywał się ten człowiek wprawiały Christine we wściekłość. Czy on myślał, że zgodziłaby się dłużej przebywać w jego towarzystwie?

— Skąd pan wie tak dokładnie, że nie był to właśnie pański błąd? — zapytała.

— Mylę się rzadko, jeśli chodzi o kolory. Pani walizka jest o ton ciemniejsza.

Jego zachowanie złościło Christine coraz bardziej. Nie poznawała samej siebie. Dlaczego on ją tak strasznie denerwował?

Z dumą zarzuciła głowę w tył. Pragnęła odpowiedzieć na jego arogancję w podobny sposób.

— Ma pan przecież już swój багаż — fuknęła. — Teraz pozostaje panu tylko przeprosić mnie za przerwanie kąpieli i za to walenie do drzwi. Bardzo mnie to przestraszyło.

Zmrużył oczy i wyciągnął do niej rękę. Christine próbowała go odrącić, ale nie zrażony tym mężczyzna chwycił kosmyk jej mokrych włosów i zaczął go delikatnie przesuwac pomiędzy palcami.

Potem zrobił krok w jej kierunku... Przez chwilę Christine miała wrażenie, że chce ją objąć. Krzyknęła cicho i odsunęła się gwałtownie. Mężczyzna natychmiast cofnął się.

— Mogę sobie tylko zarzucić, że nie poznałem się od razu na pani niepoprawnej naiwności! — powiedział. — Powinienem zauważyć, że nie ma pani za grosz poczucia humoru.

Uklonił się nieznacznie i wyszedł, głośno zamykając za sobą drzwi.

Christine aż dusiła się z wściekłości. Co on sobie w ogóle wyobrażał? Pewnie myślał jeszcze, że ma ujmujące maniery!

Zaczęła suszyć włosy. Jeszcze chwilę trwało, zanim się uspokoiła. Nie chciała więcej myśleć o tym mężczyźnie, ale jego słowa tkwiły jej wciąż w głowie. „Niepoprawna naiwność...” Czyżby miała wypisane na twarzy, że pochodzi z małego miasteczka? Jej poczucie pewności siebie mocno ucierpiało od tej historii.

Szybko jednak przywołała się do porządku. Jest taka, jaka jest, i już. Kto jej nie akceptuje, powinien zostawić ją w spokoju. Wcale jej nie zależy na sympatii kogoś tak natrętnego i aroganckiego!

Kiedy następnego dnia Christine wychodziła z hotelu, inni pasażerowie czekali już na autobus, który miał ich zawieźć na lotnisko. Nie zauważyła wśród nich mężczyzny z walizką. I wcale jej nie zależało na tym, aby go ponownie spotkać.

Do czasu odjazdu Christine czytała gazetę. Kiedy wsiadła do autobusu, stwierdziła, że między pasażerami nadal nie ma nieznanego.

Na pewno zasnęła, pomyślała ze złośliwą radością. Spóźni się na lot. Tym lepiej. Nie będzie miał więcej okazji, żeby się jej naprzykrzać.

Niedługo potem siedziała wraz z innymi w samolocie. Stewardesy rozdały już instrukcje i kazały zapiąć pasy. Za kilka minut maszyna miała zacząć kołowanie.

Christine wyglądała przez okno. Ogarnęło ją dziwne rozrzewnienie na myśl o ostatecznym opuszczeniu Ameryki.

Dwóch pracowników lotniska podbiegło do schodków i przysunęło je znów do samolotu, podczas gdy jedna ze stewardes otwierała drzwi. Christine zauważyła elegancką limuzynę. Z otwartych przez szofera tylnych drzwiczek wysiadł mężczyzna z szarą walizką i wspiał się po schodach do samolotu.

Christine nie wierzyła własnym oczom. Bezcelność tego typu przekraczała wszelkie granice. Nie dość, że wtargnął do obcego pokoju w hotelu; teraz kazał jeszcze czekać na siebie wszystkim pasażerom!

Szedł wzdłuż rzędów, prowadzony przez atrakcyjną ciemnoskórą stewardesę, uśmiechającą się do niego wręcz z oddaniem. Christine zacisnęła usta.

Kiedy mężczyzna przechodził obok niej, ich spojrzenia spotkały się. Widziała, jak drgnęły mu kąciuki ust. Przesadnie grzecznie przyłożył rękę do czoła i ukłonił się. Jego oczy błysnęły drwiąco.

Christine odwróciła gwałtownie głowę. Nie mogła zapanować nad rumieńcem. Tym razem jednak nie był on chyba wywołany wściekłością..

Stewardesy serwowały już ciepłe posiłki. Christine zjadła omlet i wypila kawę. Potem oparła się i wyglądała przez iluminator. W dole widać było bezkresne niebieskie morze. Na horyzoncie wyłaniały się zarysy jakiejś wyspy.

— Czy to Kuba? — zapytała stewardesę, kiedy ta przysłała zabrać tacę.

Czarnowłosa dziewczyna przytaknęła.

— Lecimy przez Hawanę — objaśniła uprzejmie. — Czy nie zechciałaby jej pani czegoś przeczytać? — Ma-
my na pokładzie duży wybór czasopism.

— Dziękuję. Wolę patrzeć sobie przez okno. Jestem za bardzo zdenerwowana, żeby czytać.

Stewardesa zaśmiała się.

— Kiedy minjemy Kubę, przez następne dwie godziny będzie można oglądać tylko wodę. Dopiero potem przelecimy nad Panamą.

— Skoro tak, wezmę sobie jakąś gazetę.

Christine przeszła do przedniej części kabiny i wyszukała jeden z magazynów. Wróciwszy na miejsce przeglądała go dokładnie.

Nagle drgnęła, otworzywszy pismo na całostronicowym zdjęciu. Przedstawiało ono mężczyznę, który minionego wieczoru tak jej się dał we znaki i który właśnie przed chwilą przywitał ją kpiącym uśmiechem.

2

Na czterech stronach magazynu zamieszczono bogato ilustrowany reportaż o światowej sławy malarzu z Ekwadoru, Rafaelu Vargasie.

Christine była zaszokowana. Zbladła. Gdyby ten mężczyzna widziałby ją w tej chwili, miałyby zapewne nielichą satysfakcję.

Przypomniała sobie zajście z zamianą walizek. Tyle, że tym razem widziała owo zdarzenie jego oczyma...

Stała owinięta w płaszcz przeciwdeszczowy zarzucony, na nagie ciało, boso, z mokrymi włosami..

Wyglądała pewnie jak pijany szczur.

Nagle zdała sobie sprawę z komizmu tej sytuacji. Dlaczego zareagowała tak histerycznie, kiedy wyciąg-

nął z walizki jej koszulę nocną i rozłożył bieliznę na łóżku? Mogła była rzeczywiście inaczej się zachować. Nie tak — jak on to powiedział — niepoprawnie naiwnie.

Na myśl, że postąpiła tak wobec sławnego malarza, zrobiło się jej niewymownie głupio. Nie mogła znaleźć dla siebie żadnego usprawiedliwienia.

Rafael Vargas powiedział, że rzadko się myli, jeśli chodzi o kolory. Oglądając zdjęcia jego obrazów, doceniła talent tego mężczyzny, chociaż prasowe fotografie musiały być zaledwie cieniem oryginałów.

Same jednak reprodukcje poruszyły Christine głęboko. Zafascynował ją zwłaszcza obraz zatytułowany „Zachód słońca numer jeden”. Była to abstrakcyjna kompozycja czerwonych, żółtych i brązowych plam. Przejścia do każdego następnego odcienia emanowały swoistą intensywnością, przykuwającą wręcz wzrok.

Christine opuściła gazetę i wyjrzała przez iluminator. Nie mogła sobie wyobrazić, tego aroganckiego i zarozumiałego człowieka w roli wrażliwego artysty.

Jedna ze stewardes przerwała rozmyślenia Christine, wskazując jej wąski pas ładu, który wyłonił się pod prawym skrzydłem samolotu.

— Panama — wyjaśniła. — Szkoda, lecimy za daleko na zachód od Kanału, aby móc go widzieć.

Christine spojrzała na bujnie porośnięty zielenią przesmyk oddzielający Atlantyk od Pacyfiku.

Następny ład to już Ekwador!

Wreszcie zobaczyła pokryte śniegiem szczyty Andów, stanowiące dziwny kontrast w stosunku do otaczającej je tropikalnej roślinności.

Ponownie pomyślała o Rafaelu Vargasie. Wczoraj potępiła stewardesy za głupie zachowanie, za to, że poświęcały całą uwagę temu mężczyźnie. A jak ona sama się zachowała? Także głupio, a do tego histerycznie. Co musiał sobie Rafael Vargas o niej pomyśleć?

Przygryzła w zamyśleniu dolną wargę. Po chwili jednak obudził się w niej upór. Nieważne, że jest sławny, że jest artystą. Nie zmienia to przecież faktu, że to nieokrzesany gbur krzty dobrych manier!

Jumbo-Jet wylądował. Kilka minut później Christine opuściła samolot i razem z innymi pasażerami udała się w stronę budynku lotniska.

Celnik, gruby mężczyzna w ciemnych okularach przejrzał beznamiętnie zawartość jej bagażu, i to były właściwie wszystkie formalności celne.

Christine stała niezdecydowana i rozglądała się dookoła. Co miała teraz począć? Nie знаła w Quito nikogo.

Po raz pierwszy w życiu poczuła się całkowicie samotna i bezradna. Wyobrażała sobie to wszystko zupełnie inaczej. Ogarnęła ją panika. Najchętniej pobiegłaby do budki telefonicznej i zadzwoniła do matki, tylko po to, aby usłyszeć jej głos.

Kiedy tak stała w hałasie i ruchu lotniska, cała jej odwaga stopniała nagle jak śnieg na słońcu.

W pewnym momencie poczuła czyjąś rękę na ramieniu. Odwróciła się i zobaczyła przed sobą smukłą, rudowłosą dziewczynę.

- Czy pani jest Christine? — zapytała dziewczyna.
- Tak, jestem Christine Nyland.
- Dzięki Bogu. — Dziewczyna odetchnęła z ulgą

i wyciągnęła do Christine rękę. — Ja nazywam się Susan Boyer. — Uśmiechnęła się przyjaźnie, tak, że Christine prawie zapomniała o swoim strachu. — Senior Toral przysłał mnie tutaj po panią. On jest kierownikiem filii naszego banku i będzie pani szefem.

Wzięła Christine pod ramię i skierowała się z nią w kierunku miejsca, gdzie wydawano bagaże.

— Już się bałam, że pani nie znajdzie — mówiła wdzięcznie Susan. — Niestety, nie udało mi się dotrzeć wcześniej na lotnisko. Ta zmiana godziny przylotu wszystko mi poplątała. — Ale kiedy zobaczyłam panią stojącą tu jak zagubiona owieczka, wiedziałam natychmiast, kim pani jest.

Christine próbowała przywołać na twarz uśmiech.

— Właśnie poczułam po raz pierwszy tęsknotę za domem. Nie wiedziałam jednak, że to po mnie widać.

Susan prowadziła ją pewnie przez tłum ludzi.

— Ten stan można łatwo rozpoznać u każdego. Wystarczy, że przypomnę sobie swoją pierwszą podróż do Tajwanu. Wylądowałam w momencie najsilniejszego tajfunu. Wcześniej nie wyjeżdżałam poza Kalifornię — dodała z westchnieniem. — Do tamtego czasu myślałam, że tajfun jest nazwą specjalistyczną. Wtedy dowiedziałam się jak może on wyglądać w rzeczywistości.

Christine, ta młoda, żywa dziewczyna wydała się bardzo sympatyczna.

Dotarli wreszcie do bagaży. Christine, już spokojniejsza, z zachwytem obserwowała otoczenie: śpieszących się, dobrze ubranych ludzi biznesu, a także Indian w kolorowych poncho i dużych kapeluszach.

Susan patrzyła na swoją podopieczną śmiejąc się.

— Każdy kto jest tu po raz pierwszy, tak się zachowuje. Od siedmiu miesięcy próbuję znaleźć jakiś związek między dwoma różnymi istniejącymi tu światami, między nowoczesnym i starym Ekwadorem. Te kraje są całkowicie odmienne. Pani będzie się tu rzucać w oczy.

— Dlaczego?

— No, bo tu nie ma przecież blondynek. A poza tym jest pani trochę wyższa niż przeciętna Ekwadorka. Na pewno wzbudzi pani zainteresowanie. Mam nadzieję, że nie czeka na panią w domu żaden przyjaciel?

Christine potrząsnęła głową.

— Nie, rzeczywiście nie. Ale...

— No, to cudownie! Dziewczyna, której miejsce pani zajmie, miała przyjaciela. Ona nigdy nie wychodziła z domu. Zawsze kiedy pytałam się, czy nie zechciałaby ze mną trochę się powałęsać, odpowiadała mi, że musi napisać list do niego. To było okropnie nudne. Tu jest tyle rzeczy godnych zobaczenia i zwiedzania, a ja lubię towarzystwo. Jeśli mogę coś zorganizować razem z przyjaciółką, sprawia mi to większą przyjemność.

Christine była wdzięczna swojej towarzyszce za nieuciąźliwy ton rozmowy. Czuła, że Susan pragnie jej pomóc się rozluźnić. I rzeczywiście, napięcie powoli opuszczało Christine.

— Kiedy już się pani trochę zdomowi — ciągnęła Susan — zaprowadzę panią do Klubu i poznam z kilkoma godnymi uwagi kawalerami. Zakład, że z trudem będzie pani mogła opędzić się od wielbicieli.

— Ścisnęła ramię Christine. — Cieszę się szalenie, że pani tu jest. Na pewno będzie nam razem dobrze.

Na taśmie pokazały się pierwsze walizki. Christine rozpoznała swoją i chciała ją zabrać, Susan okazała się jednak szybsza. Obie dziewczyny opuściły budynek lotniska.

Samochód Susan był zaparkowany w pobliżu. Włożyła walizkę do samochodu i usiadła za kierownicą. Christine zajęła miejsce obok. Szybko dojechały do miasta.

— Najważniejsze to znaleźć nocleg — powiedziała Christine. — Najlepiej będzie, jak wysadzi mnie pani przy jakimś hotelu, możliwie niedaleko od banku. Będę potem...

— Nie musi się pani martwić — przerwała jej Susan. Razem z pracą otrzymuje pani dom.

— Dom? Nie mówi pani poważnie!

— Ależ tak. Karolina, pani poprzedniczka, wynajęła go na rok. Jeśli się pani spodoba, może go pani przejąć. Najpierw jednak pokażę pani Quito, a dopiero potem zawiozę tam. To niedaleko od mojego mieszkania.

Dotarły do śródmieścia. Poruszały się bardzo powoli w niesamowitym, trudnym do wyobrażenia ścisłu na ulicach.

Christine była oszołomiona nadmiarem wrażeń. Podziwiała piękne kamienne budowle i domy w stylu amerykańskim, z białymi fasadami i dachami pokrytymi tradycyjnie czerwoną dachówką. Co chwilę dostrzegała jakiś park.

Susan zwróciła jej uwagę na otoczony białymi,

dwupiętrowymi domami z cienistymi krużgankami Plaża Independencia.

Po szerokich chodnikach sunęli ludzie. Mężczyźni nosili przeważnie jasne ubrania w kowbojskim stylu; kobiety szerokie, ręcznie tkane spódnice i konieczne tu małe słomiane kapelusze. Piersi i plecy owinięte miały wełnianymi chustami, w których nosiły niemowlęta lub jakiś bagaż. Ich mężowie dreptali obok, jedni boso, inni w sandałach. Wszyscy jednak okrywali się tradycyjnymi, wzorzystymi ponchos.

— Teraz wiem, co miała pani przedtem na myśli — powiedziała Christine, zwracając się do Susan. — To wszystko przypomina ilustracje ze starej książki. Nigdy nie sądziłam, że ludzie mogą się jeszcze tak ubierać. Kiedy oglądałam foldery, myślałam, że chciano tym po prostu przyciągnąć turystów.

— Ja też miałam podobne wrażenie — odparła Susan. — Ale Indianie w Andach żyją jeszcze tak samo jak ich przodkowie. Wydaje się, jakby nie mieli w ogóle kontaktu z naszym nowoczesnym światem.

Christine nie mogła się napatrzeć. Była zafascynowana ludźmi o śniadej skórze, szerokich, wystających kościach policzkowych i kruczoczarnych włosach.

— Czuję się jak w zupełnie innym świecie, w innym wieku — powiedziała. — Proszę popatrzeć na te cudowne dzieci, niczym z obrazka. One mają całkiem czerwone policzki.

— Ta skóra jest popękana — wyjaśniła Susan — Quito leży bardzo wysoko. Jak właściwie się pani czuje? Czy jest pani niedobrze?

Christine przytaknęła.

— Kręci mi się trochę w głowie. Byłam jednak za bardzo zdenerwowana, żeby coś zjeść w samolocie.

— W domu poczęstuję panią herbatą i ciastem. To z pewnością pomoże. Potem powinna się pani na godzinę położyć, żeby później nie dostać soroche.

— Soroche?

— Choroby wysokościowej. Trudno uwierzyć, jak wysoko się znajdujemy — wyjaśniła Susan. — Góry nie wyglądają stąd na zbyt wysokie. Quito zaś leży dwa tysiące sto pięćdziesiąt metrów nad poziomem morza. Ja miałam przez pierwsze dni okropne krwotoki z nosa. A kiedy grałam w tenisa, nie wytrzymałam długo. Proszę się jednak nie martwić. Po jakimś tygodniu organizm się przyzwyczaja.

Skręciły z głównej ulicy handlowej i wjechały pomiędzy sympatycznie wyglądające domki przedmieścia. Susan zatrzymała samochód przed jednym z nowoczesnych budynków.

— Tutaj mieszkam — oznajmiła. Wyłączyła motor i otworzyła drzwi. — Trzeba stąd, co prawda, jechać do banku około dwudziestu minut, ale już się z tym pogodziłam. Większość nas, obcokrajowców, mieszka tutaj.

Christine szła za Susan przez przedpokój z wyłożoną kafelkami podłogą, aż do pomalowanego na biało salonu. Ciemnoczerwona podłoga kontrastowała z grubym, ręcznie wykonanym chodnikiem w stare indiańskie wzory.

— To jest cudowne! — krzyknęła Christine. — I te wspaniałe tkaniny! Też chciałabym sobie coś takiego sprawić!

Kiedy obie dziewczyny posiliły się herbatą i ciastem, Susan zaproponowała obejrzenie domu Christiñe.

— Jestem ciekawa, czy się pani spodoba — powiedziała.

Dom zasłaniały drzewa, gęsto porośnięte liśćmi. Od samochodu do jego drzwi było tylko parę kroków, ale Christiñe nie mogła ich zrobić. Postawiła walizkę na ziemi i zdyszana usiadła na niej.

— To normalne na początku — pocieszyła Christine. — Jestem pewna, że wkrótce pobije pani na korcie tenisowym nas wszystkich.

— Tenis! — westchnęła Christiñe. — W tym momencie nie mogłabym nawet utrzymać w ręku rakiety.

Z pomocą Susan pokonała w końcu resztę drogi.

— Witam w pani nowym domu — Susan otworzyła drzwi i kazała Christiñe wejść do środka.

„Mój dom!” Ledwo mogła pojąć te słowa. Wyrosła w rodzinie, gdzie było ośmioro dzieci. Myśl, że mogłaby mieć kiedykolwiek własny pokój, wydawała się jej od dawna tylko snem. A teraz cały dom!

Był to szeroki, jednopiętrowy budynek z białym chropowatym tynkiem i spadzistym, czerwonym dachem, typowym dla wszystkich budynków w Quito.

Mieszkanie było urządzone gustownie. Wypełniały je ciemne, solidnie wykonane meble z ręcznie rzeźbionymi ornamentami. Na krzesłach i fotelach leżały kolorowe poduszki. W holu Christiñe odkryła nawet kilka doniczek z geranium. Była zachwycona.

Zanim mogła jednak obejrzeć pozostałe pomieszczenia, zakręciło się jej w głowie. Susan zaprowadziła ją do sypialni.

— Lepiej proszę się położyć, zanim się pani na-
prawdę nie rozchoruje. Pójdę już. Jeśli będzie pani
czegoś potrzebować, proszę zadzwonić do mnie. Mój
numer telefonu znajdzie pani na konsolce obok aparatu.
Lodówka jest dobrze zaopatrzona. Senior Toral
zobowiązał mnie zatroszczyć się o wszystko.

— To miło z jego strony — wymamrotała Christine.
Była wzruszona, że ktoś zupełnie obcy myślał o niej.

— To jest prawdziwy dżentelmen — Susan śmiała
się. — Ma tyle zasad, że aż trudno to sobie wyobrazić.
Będzie pani zapewne zadowolona z nowego bossa.

Kiedy Susan wyszła, Christine rozebrała się i wśliz-
gnęła do łóżka. Przez otwarte okna wpadało świeże
górskie powietrze. Przepęłnił ją słodki zapach, przywo-
dzący na myśl wiosnę w jej rodzinnym Twin Rivers.
Zamknęła oczy i myślała o swoim domu. Był październik.
Liście pożółkły już tam całkowicie, a dynie
w ogrodzie dojrzały. Rodzice przygotowywali się
zapewne na święto po zakończonych żniwach.

Było to jej pierwsze Święto Dziękczynienia spędzane'
z dala od rodziny. Christine przewróciła się na drugi
bok. Znów ogarnęła ją tęsknota... Zaraz potem jednak
zaczęła myśleć o swojej przygodzie, na którą się
zdecydowała i czekającym ją nieznanym. Praca w ban-
>ku, inni ludzie, nowe przyjaźnie...

Pierwszy krok na tej drodze właśnie zrobiła. Była
w Quito i miała już nawet przyjaciółkę! Jeżeli nie liczyć
nieprzyjemnego incydentu w hotelu na Miami, wszyst-
ko szło lepiej, niż się spodziewała.

„Muszę to zdarzenie wymazać z pamięci”, pomyś-
lała. Parę minut później spała już głęboko.

Obudziła się dopiero rankiem i akurat w chwili, gdy wschodziło słońce. Wskoczyła z łóżka i podbiegła do okna. Głęboko wdychała rześkie, górskie powietrze.

Ulica przed domem była pusta. Wszystkie domy pokrywał jeszcze cień, tylko wierzchołki gór złociły się w słońcu na tle nieprawdopodobnie niebieskiego nieba.

Christine stała, upajając się grą kolorów i światła. Chciała mieć tyle talentu malarskiego, aby móc utrwalić na papierze ten niepowtarzalny nastrój.

Odwróciła się od okna i jej dobry humor znikł — mimowolnie przypomniała sobie o Rafaelu Vargasie. Po raz kolejny postanowiła więcej do tego nie wracać. Przecież i tak nie spotka go już nigdy więcej.

Zdjęła pogniecione ubranie i poszła do łazienki. Pomyślano rzeczywiście o wszystkim, czego mogła potrzebować. Na wieszaku wisiał nawet czepek do kąpieli.

Po chwili stała pod prysznicem i cieszyła się, mogąc poczuć na swoim ciele letnią wodę. Wytarła się i owinęła dużym ręcznikiem, po czym wróciła do sypialni, żeby rozpakować walizkę.

Kiedy była gotowa, poczuła głód, który kazał jej iść do kuchni. Wczoraj nie jadła ani obiadu, ani kolacji. Kręciła się tu i tam w szlafroku oraz sandałach. Nastawiła wodę i znalazła potrzebne do śniadania naczynia.

Bełtając jajecznicę na patelni, znieruchomiała nagle. Jakby zbudzona właśnie ze snu, uświadomiła sobie, że stoi we własnej kuchni. Miała ją przecież tylko dla siebie!

Pomyślała o śniadaniach w domu rodzinnym. Matka, z rozpaloną twarzą, pochylała się nad kuchenką gazową, rodzeństwo bijące się o najlepsze miejsce przy stole, wieczne narzekania na zbyt twarde lub zbyt miękkie jajka... Christine nie mogła uwierzyć, że to wszystko pozostało już za nią.

Dom. Jej własny dom! Nieduży, ale dla Christine będący pałacem.

Z filiżanką kawy w ręku szła przez pokoje i rozglądała się.

Kilka stopni niżej znajdował się salon z kominkiem. Przechodziło się stamtąd wprost do ozdobionego geranium holu. Sypialnia, kuchnia i jadalnia mieściły się w tylnej części domu.

Christine otworzyła drzwi do ogrodu, gdzie wąski pas trawnika dochodził aż do następnej, głębiej położonej ulicy. Spoglądała na potężny masyw górski, który wznosił się majestatycznie za dachami domów.

Susan opowiadała jej wczoraj, że szczyt ten nazywa się Pichincha. Był to wygasły wulkan, na którego zboczach odbyła się kiedyś bitwa między Inkami a hiszpańskimi konkwistadorami.

W międzyczasie słońce wzniosło się ponad góry, a śnieg na Pichincha zaczął błyszczeć. Płaskowyż i przylegające do niego, wznoszące się tarasami, pola uprawne, leżały jeszcze w cieniu.

Od gór wiał chłodny, poranny wiatr. Christine zaczęła marznąć. Drżąc, wróciła do domu. Musiała przygotować się do pierwszego dnia pracy.

Przeglądała całą swoją garderobę zastanawiając się, co założyć. Czuła to samo podenerwowanie, co wczoraj.

raj na lotnisku. W głowie kłębiły się gorączkowe pytania. Czy podoła tej nowej pracy? Czy zostanie zaakceptowana przez pracowników banku? Jakie zdanie wyrobi sobie o niej szef, który okazał się być tak bardzo troskliwy o nową sekretarkę? Christine bardzo nie chciała go rozczarować.

Wybrała jasnozielony kostium z dżerseju. Wyglądała w nim poważnie, ale mimo to bardzo kobieco.

Starannie zaczesła włosy do tyłu i spięła je klamrą na karku. Teraz jeszcze tylko musiała poczekać na Susan.

Ta przyszła punktualnie o ósmej.

— No, udało się wszystko? — krzyczała radośnie. Christine przytaknęła.

Susan zauważyła zdenerwowanie u Christine.

— Nikt pani nie urwie głowy — uspokajała ją.

Poranny ruch uliczny nie był tak duży, jak w Buffalo, ale ulice dzielnicy handlowej w Quito okazały się znacznie węższe. Susan potrzebowała pół godziny, żeby w końcu zaparkować samochód.

Budynek banku położony był w pobliżu Plaża Independencia, pośród domów w starym, kolonialnym stylu.

Christine podziwiała architekturę trzypiętrowego gmachu. Szerokie kamienne schody prowadziły do masywnego portalu z podwójnymi szklanymi drzwiami i wykutymi w żelazie zdobieniami. Nad wykuszem znajdował się duży balkon, nad którego balustradą rosły bujnie kwiaty.

Hala kas, rozjaśniona białym światłem, sprawiała wrażenie sali obrad. Kasjerzy w okienkach pozdrawia-

li Susan, a ona przedstawiała każdemu Christine. Przyszli współpracownicy wydali się jej bardzo mili.

— Pani będzie pracować na górze — objaśniła Susan, prowadząc Christine szerokimi, krętymi schodami. — Wszystkie sekretarki pracują na półpiętrze, a biura kierownictwa znajdują się wyżej. Mój pokój znajduje się obok hali kasowej, dokładnie pod pani biurem. W czasie przerwy na kawę będę mogła zawsze zapukać w sufit — zaśmiała się.

Z półpiętra wychodziło się na szeroką antresolę okalającą halę; były tam drzwi do poszczególnych biur. Susan otworzyła jedno z nich i przedstawiła Christine dwóm urzędnikom, z którymi miała ona pracować.

— Najpierw pójdziemy jednak do Seniora Torala. Polecił mi natychmiast panią do siebie przyprowadzić.

Christine znowu poczuła ogromną treść.

— A jeśli nie będę odpowiadała jego wymaganiom... co wtedy?

— Nonsens — zaprzeczyła żywo Susan. — Odwagi. Nie wolno być zbyt skromnym. Chodźmy, on nie lubi czekać. Jednak, poza tą drobną wadą, jest prawdziwym aniołem.

Położyła uspokajająco rękę na ramieniu Christine i zaprowadziła ją na trzecie piętro.

Dywany w gabinecie szefa były tak grube, że wyciszały każdy hałas. Ciemne drewniane obicia na ścianach budziły respekt.

Ale Carlos Toral nie pasował do tego otoczenia. Kiedy Susan i Christine weszły, podniósł się ze skórzanego fotela. Przywitał obie, po czym zaprosił Christine

do zajęcia miejsca. Susan wycofała się, mamrocząc coś cicho i mrugając ukradkiem do przyjaciółki.

Carlos Toral był młodszy, niż Christine oczekiwała. Mógł mieć około trzydziestki, chociaż jego nienaganny garnitur oraz godne i uprzejme zachowanie nadawały mu znacznie starszy wygląd. Po zdawkowych pytaniach o podróż, mieszkanie, nocleg, przeszedł do obowiązków służbowych Christine.

W końcu Carlos Toral oparł się w fotelu i uśmiechnął z zadowoleniem. Był oczarowany inteligencją Christine. Na jego pytania odpowiadała precyzyjnie i szybko. Spodobała mu się. Uśmiechał się coraz szerzej.

— Susan będzie miała jeszcze okazję pokazać pani Quito — stwierdził. Mówił doskonale po angielsku, mimo lekkiego akcentu. — Może będzie pani tak miła ; i pójdzie dziś wieczorem coś zjeść ze mną?

Christine była zaskoczona. Nie spieszyła się z od- > powiedzią. Może tylko chce być dla niej uprzejmy i nie oczekuje wcale zgody?

Zauważył jej wahanie i uśmiechnął się ze zrozumieniem.

— Na pewno jest pani zmęczona podróżą. Może wolno mi będzie powtórzyć to pytanie za dzień lub ; dwa?

„Dlaczego właściwie nie miałabym przyjąć tego zaproszenia?" — zastanawiała się. Wyglądało, że • mówił poważnie. A w końcu chciała zacząć całkiem nowe życie.

W tym momencie dokonała się w Christine przemiana.

— Zmęczona? — odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech. — W całym swoim życiu nigdy jeszcze nie czułam się tak dobrze jak teraz.

3

— No, widzi pani — skomentowała Susan relację Christine. — Powiedziałam przecież, że on jest niesłychanie miły.

Obie dziewczyny siedziały razem podczas przerwy i piły kawę.

— Prawdopodobnie już zwariował na pani punkcie — ciągnęła Susan.

Christine uśmiechnęła się.

— Teraz pani przesadza. Senior Toral zupełnie nie wygląda na uwodziciela.

— Zgadza się — odpowiedziała Susan. Wrzuciła kostkę cukru do kawy i zamieszała. — Jest po prostu miły i pełen respektu dla swoich pracowników. Nigdy jeszcze nie miałam takiego szefa jak on. Jest trochę staromodny. Człowiek starej daty, jak to się mówi.

Po pracy Susan wysadziła Christine przed domem. Ta zrezygnowała z przerwy obiadowej, by zwiedzić kręte uliczki Calle de la Ronda.

Choć był to dla niej wyczerpujący dzień, cieszyła się na myśl o wieczorze z Carlosem Toralem.

Po kąpieli włożyła na siebie nową sukienkę. Granatowy materiał tworzył ładny kontrast z jej jasnymi włosami, a haft ze złotych nitek na ramionach i dekolcie dodawał strojowi szyku.

Ponieważ od Andów wiał chłodny wiatr, narzuciła jeszcze na ramiona długi, jedwabny szal. Dostała go od matki na swoje szesnaste urodziny. Szal ten przywozła jej babka ze Szwecji, skąd emigrowała do Ameryki.

Christine rzuciła ostatnie spojrzenie w lustro. Była zadowolona ze swojego wyglądu.

Miała jeszcze trochę czasu, wyszła więc na ganek i przyglądała się nocy. Światła domów sprawiały wrażenie błyszczących pereł na ciemnoniebieskim zamachu. Z gór spływał mrok, niczym czarna lawa.

Nagle Christine przebiegł po plecach dreszcz. Otuliła się ciasno szalem.

Czyżby znowu zaczynała tęsknić za rodziną? Czy też bała się po prostu tego, że stoi na własnych nogach, że nikt jej już nie chroni?

Głośne pukanie w drzwi przywołało ją do rzeczywistości. Christine wpadła do domu i przebiegła przez salon.

Carlos Toral wyglądał bardzo elegancko w szarym garniturze, białej koszuli oraz prążkowanym krawacie. Przywitał Christine serdecznie. Po jego spojrzeniach zauważyła, że zrobiła dobry wybór, zakładając tę nową sukienkę. Nie należał on jednak do mężczyzn obsypujących kobiety komplementami. Rozejrzał się dookoła i zapytał z uśmiechem, czy nie uważa, że dom jest za mały.

— Za mały? — Christine zaśmiała się. — To jest dla mnie raj, Senior Toral.

Popatrzył na nią przez chwilę. Potem podał jej ramię i poprowadził do samochodu.

— Por favor, Christine. Proszę mówić do mnie

Carlos. Nie jest mi zbyt miło, gdy wychodzę z kobietą, która zwraca się do mnie „Senior Toral”.

Christine zgodziła się natychmiast. Carlos zbyt sympatyczny, żeby pozostawać z nim na „pan”.

— Dom jest tak duży, że mogłabym w nim wygodnie mieszkać z moim całym rodzeństwem — powiedziała.

Teraz z kolei Carlos się zaśmiał. Potem pomógł jej wsiąść do samochodu.

Kiedy jechali do miasta, wypytywał o rodzinę Christine i uznał, że musi to być piękne, wychowywać się z tak licznym rodzeństwem.

— Myślę, że takie życie rodzinne też by mi odpowiadało — zauważył. — Mam co prawda brata i siostrę, ale różnica wieku jest między nami tak duża, że każde z nas czuło się praktycznie jedynakiem. Wychowywaliśmy się w posiadłości rodzinnej. Moi rodzice mieszkają tam jeszcze. To bardzo duży dom. Każdy robił, co chciał, widywaliśmy się w zasadzie tylko przy posiłkach. A odkąd zaczęliśmy chodzić do szkoły, już tylko w dni świąteczne.

Christine wyobraziła go sobie jako dziecko: poważny, porządny, mały chłopiec, wyrastający w ekskluzywnym, ale sztywnym otoczeniu.

Zdała sobie sprawę z różnicy między swoim a jego dzieciństwem. Ogarnęło ją współczucie. Za żadne skarby nie chciałyby się zamienić z Carlosem.

— Pana rodzina mieszka w Quito? — zapytała.

— Mamy tu drugi dom, który zajmuję z moim bratem. Nasza rodzinna posiadłość leży jednak nad Guaya River, w pobliżu Guayaguil na wybrzeżu.

— Pana brat mieszka więc tutaj?

— Tak, czasami. Właśnie wrócił z zagranicy i chce zostać tu kilka miesięcy. Myślę jednak, że zamiłowanie do podróży pogna go wkrótce dalej. Taki jest po prostu jego styl życia.

Carlos odwrócił się na chwilę w jej stronę i Christine > zauważyła w jego oczach coś dziwnego. Odniosła wrażenie, że nie był zachwycony życiem swego brata.

— On nie daje sobie ani chwili wytchnienia. To miałem na myśli — wyjaśnił Carlos.

„Mogę go zrozumieć”, pomyślała Christine, przypominając sobie swój własny niepokój ostatnich lat, kiedy w głębi duszy o niczym tak nie marzyła, jak o wyrwaniu się z Twin Rivers.

— Może Quito jest dla pańskiego brata nie dość światowym miastem? Powinien przyjechać do Twin Rivers. To mogłoby być dla niego świetnym przeżyciem, tak samo jak Quito dla mnie.

— Tak, możliwe — odparł krótko Carlos. Skreślił { z ulicy i zatrzymał samochód między pluskającą fontanną a szerokimi kamiennymi schodami, które prowadziły do okazałego jak pałac budynku.

Kiedy weszli do restauracji, Christine zauważyła, że elegancko ubrani goście kłaniają się Carlosowi przyjaźnie, a kobiety przyglądają mu się z zaciekawieniem i uwagą. Wraz z Carlosem szła za kelnerem, prowadzącym ich do stolika we wnęce. Tych parę kroków stało się dla niej prawdziwą męką. Podczas jazdy rozmawiała z Carlosem, nie miała więc czasu się denerwować. Teraz, w tym eleganckim lokalu, poczuła się bardzo niepewnie.

— „Czego tu szukasz, prosta dziewczyno, między bogatymi ludźmi?” — pytała samą siebie. W końcu zdobyła się na odwagę, by odezwać się do Carlosa.

— Proszę mi na moment wybaczyć. Chciałabym się trochę odświeżyć.

Skinął głową i skupił swoją uwagę na karcie win.

Christine przeszła przez restaurację, weszła do holu i rozejrzała się wokół czegoś szukając.

Zderzyła się z kimś, kto właśnie opuszczał bar. Zakłopotana odwróciła się, żeby go przeprosić — i w tym momencie spojrzała prosto w rozbawione, błyszczące oczy Rafaela Vargasa.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głowy i zatrzymał się na jej długich blond włosach, zmierzwionych przez wiatr.

— Que sueno! Śnię, czy też jest to piękna Ofelia, powstała z mokrego grobu?

— Przepraszam — i wyjąkała Christine i próbowała przejść obok niego, ale Rafael ani myślał zejść z drogi. Jego ciemne oczy błyszczały, a on sam uśmiechał się poufale, jakby znali się już od dawna.

Christine wróciła myślami do spotkania z Miami. Krew uderzyła jej do głowy.

— Teraz pani twarz ma barwę fioletowej koszuli nocnej — rzekł Rafael Vargas i roześmiał się. Podniósł rękę i przeciągnął dłonią po gorących policzkach Christine.

— No, ale powoli odzyskuje pani naturalne kolory. Wspomnienie koszuli nocnej rozżłościło Christine. Ten niemożliwy facet znowu się z niej naśmiewał! W porównaniu z atrakcyjnymi, ubranymi według

najnowszej mody kobietami, Christine wydała się sobie bardzo niepozorna.

Rafael Vargas nigdy nie zwróciłby w tym otoczeniu na nią uwagi, gdyby nie zdarzyła się ta głupia sprawa z walizkami. Jej strój wydał mu się tak bardzo śmieszny, że znowu z niej drwił.

— Czy nie mógłby pan wreszcie z tym skończyć?!
— spytała ostrzej aniżeli tego chciała.

Opuścił dłoń i przyjął bardzo swobodną postawę.

— Nie każdego dnia spotyka się nimfę, którą poznało się wcześniej jako mokrą szczyrucę. — Głos zmienił mu się nagle. Brzmiał ironicznie, z nutką urazy.

Christine miała chęć uciec, jednak Rafael Vargas nie ruszał się z miejsca.

— Pan się myli, Senior Vargas — powiedziała, zbierając w sobie całą pogardę, do jakiej była zdolna, choć kolana jej drżały. — To, co pan widział w Miami, to był ten sam szczur, który teraz stoi przed panem. Tylko wygląd zewnętrzny zmienił się nieco. Najwidoczniej także najbardziej znani artyści się mylą.

Rafael Vargas przybrał taki wyraz twarzy, jakby otrzymał policzek. Jego uśmiech znikł, spojrzenie wyostrzyło się. Zrobił krok w kierunku Christine i stanął tuż przed nią.

— Może ma pani rację — oznajmił lodowato.
— Myliłem się co do pani niewinnego wyglądu. Nie mogłem przecież wiedzieć, że za pani anielską twarzą ukrywa się żmija.

— Pana trudno znieść! — syknęła wściekle i odwróciła się. Chciała wreszcie uwolnić się od jego ironicznego spojrzenia, które ją tak złościło.

— Jeszcze jedna mała, amerykańska prowincjuszka
— śmiał się drwiąco Rafael Vargas.

Christine nie mogła już tego znieść. „Nie poddam się”, myślała z furją.

— W Miami zwracał pan uwagę na moją niepoprawną naiwność — powiedziała chłodno. — Jeśli myślał pan choć przez sekundę, że sprawił mi swoim stwierdzeniem przykrość, to mogę panu powiedzieć, iż jestem dumna z moich prowincjonalnych manier, Senior Vargas. Ja również nie oczekiwałam, żeby taki mężczyzna jak pan wiedział coś o dobrym wychowaniu. Niech pan się lepiej zajmie pędzlami, a szarmanckie gesty zachowa dla stewardes.

Christine nie czekała na skutek tych słów. Weszła do toalety i zatrzasnęła za sobą drzwi.

Osunęła się na jeden z obitych pluszem stołków, które stały pod ścianą z lustrami.

„Co też ja znowu wyrabiałam?” — zastanawiała się, mając miękkość w kolanach. Co takiego miał w sobie Rafael Vargas, że ją zawsze prowokował?

W Twin Rivers nie było mężczyzn, którzy by przypominali Rafaela. Nie nauczyła się więc postępować z takimi ludźmi.

Christine spojrzała w lustro. Powoli nabierała kolorów.

Nagle zaśmiała się sama z siebie. Niewiele kobiet odważyłoby się rozmawiać w ten sposób ze znanym i na pewno wpływowym artystą. Poczowała zadowolenie, że powiedziała mu własne zdanie.

Wracając do restauracji, wierzyła, iż w przyszłości da sobie radę w każdej sytuacji.

Kiedy podeszła do stolika, czekała na nią kolejna niespodzianka. Carlos nie był sam! Obok niego siedział ów wstrętny Rafael Vargas!

Panowie wstali uprzejmie, kiedy do nich podeszła.

— Christine, proszę mi pozwolić przedstawić sobie mojego brata — rzekł Carlos uśmiechając się lekko.

— Rafael Vargas.

— Pański brat! — krzyknęła. — Ależ to... — Nie mogła dalej mówić.

— Dokładniej powiedziawszy, jesteśmy braćmi przyrodniymi — wyjaśnił Carlos, odsunął jej krzesło i zaczekał, aż usiądzie. — Rafael pochodzi z pierwszego małżeństwa mojej matki, z Guillermo Vargasem...

Rafael milczał. Najwidoczniej był zbyt zaskoczony, widząc tu Christine.

„Jest więc jednak coś, co może go zbić z tropu”, pomyślała.

Kiedy Carlos nalewał wino, odezwał się Rafael.

— Christine i ja już się znamy, kochany bracie — powiedział, spoglądając smętnie w kieliszek. — Lecieliśmy tym samym samolotem z Nowego Jorku.

— Ach tak — odparł Carlos po chwili — rzeczywiście, przecież przybyliście tu tego samego dnia. Zupełnie zapomniałem.

Christine czekała na jakąś sarkastyczną uwagę Rafaela, ale nic takiego się nie zdarzyło. Milczał, pozostawiając wszystkie wyjaśnienia Carlosowi.

Rafael, dowiedziawszy się Christine, spędził wiele lat za granicą. W Anglii mieszkał w internacie, potem studiował w Paryżu i Nowym Jorku.

— Nasza matka nie pogodziła się wcale z jego karierą artysty. Chciała, żeby Rafael kiedyś przejął nadzór nad plantacją, która należy do naszej posiadłości. On jednak wywinął się z tego bardzo elegancko. Znikł z naszego pola widzenia do chwili, aż osiągnął sukcesy w dziedzinie wybranej przez siebie samego. No i ma ich sporo. Wrócił więc do domu jak bohater, a nie jak syn marnotrawny.

Na te słowa Rafael podniósł wzrok i obaj bracia uśmiechnęli się do siebie.

— Quito jest dumne ze swego artysty — Carlos ponownie zwrócił się do Christine. Całe miasto jest nim zachwycone.

— Piękna mowa — stwierdził Rafael i duszkiem opróżnił kieliszek. — Poczekaj tylko, aż Quito zobaczy moje ostatnie prace. Może wtedy przestać być tak dumne. Ty nie wiesz wcale, że jeszcze do zeszłego miesiąca malowałem wyłącznie abstrakcje.

— Dopóki aúitenos biorą w tym udział, nie może być z tobą źle, mój bracie — odparł Carlos.

Potem powiedział do Christine:

— Od przyszłego tygodnia będą w Quito wystawione obrazy Rafaela. To jest oficjalny powód jego pobytu tutaj. Otworzy tę wystawę osobiście.

— Wygląda na to, że jest pan bardzo dumny z talentu Rafaela — zauważyła Christine.

— Naturalnie, że jestem. Kto nie byłby dumny, jeśli miałby sławnego brata? Ale czasami sława przychodzi za wcześnie — dodał ciszej Carlos.

Christine zobaczyła, jak twarz Rafaela drgnęła. Najwyraźniej nie zgadzał się ze swoim bratem.

Nagle do stołu podeszła młoda kobieta, ubrana w sposób zwracający na siebie uwagę.

— Rafael, mi querido. Bienvenido!

Twarz Rafaela rozjaśniła się. Natychmiast poderwał się i uściśnął kobietę gwałtownie.

— Ewa! Jesteś piękna, jak zawsze. Ale to żadna niespodzianka dla mnie. Widziałem twoje zdjęcie na tytułowych stronach wielu czasopism w Paryżu i Rzymie.

Ewa była mniej więcej tego wzrostu co Christine i uderzająco szczupła. Miała pociągłą twarz z wysoko osadzonymi kośćmi policzkowymi, wąski nos oraz czarne oczy. Lśniące czarne włosy nosiła zaczesane mocno do tyłu z przedziałkiem na środku. Jej ciężkie złote kolczyki i bransoletki na rękę zabrzczały głośno, gdy wymieniała uściski z Rafaelem i gdy siadała. Christine dziwiła się, jak w ogóle, mogła tego dokonać w tak obcisłej, przylegającej do ciała sukience.

Najwidoczniej tych dwoje nie widziało się długo. Wyglądało na to, że byli dla siebie więcej niż przyjaciółmi. Ewa trzymała Rafaela za rękę trochę zbyt mocno. Gdy Carlos ją przedstawiał, Ewa rzuciła na Christine tylko przelotne, nie zdradzające zainteresowania spojrzenie, po czym zajęła się ponownie Rafaelem. Był jak odmieniony. Po jego złym humorze sprzed paru chwil nie zostało ani śladu. Zachowywał się tak samo, jak w samolocie, podczas rozmowy ze stewardesami; pewny siebie, z dumnie uniesioną głową...

Rafael był mężczyzną który uważał za oczywiste, że kobiety podziwiają go, i że może dostać od nich I
wszystko, czego zapragnie. Im bardziej ożywiał się f

Rafael, tym ciszej zachowywała się Christine. Miała nadzieję, że tego wieczora pozna lepiej Carlosa. Ale Rafael i Ewa przywłaszczyli sobie całą zabawę.

Wyglądało na to, że i Carlos nie był tym zachwycony, ale jak zawsze zachowywał się uprzejmie, choć z wyraźną rezerwą.

Chciał zaproponować na kolację coś szczególnego i zamówił homara, przywiezionego wprost z wybrzeża. Christine nie jadła nigdy czegoś takiego; kuchnia jej matki była zawsze pożywna i oszczędna. Na luksusy nie wystarczało w tak dużej rodzinie pieniędzy.

A jedzenie poza domem byłoby grzechem.

Po tym wspaniałym posiłku mogli zjeść owoce i wypić kawę, a na zakończenie paniom podano likier, a panom koniak.

Przy stole zapanowało milczenie. Christine obracała nóżką do połowy napełnionego kieliszka, gdy zauważyła nagle, że Rafael przypatruje się jej. Zirytowana podniosła wzrok i zobaczyła uszczypliwy uśmiešek.

Natychmiast zdała sobie sprawę, iż nie zapomniał obraży. Na pewno chętnie odpłaci jej pięknym za nadobne.

„Dlaczego nie rozmawia dalej z Ewą?” — myślała nerwowo.

Zrobił to, ale inaczej, aniżeli Christine by sobie tego życzyła.

— Opowiedziałem już Carlosowi, jak poznałem Christine. Świetna historia, mówię ci. Na pewno ci się spodoba.

Posłał Christine spojrzenia pełne triumfu. Ewa obserwowała ją z pełną dystansu ciekawością.

— Myślałam, że jest pani pracownikiem banku Seniora Torala. Nie wiedziałam wcale, że pani i Rafael się znacie.

— Mało — odpowiedziała Christine gwałtownie. Pełna z wątplenia, starała się odwrócić nadchodzącą katastrofę. — Widzieliśmy się przelotnie w samolocie.

Miała nadzieję, że to wyczerpie temat, ale stało się dokładnie odwrotnie. Na twarzy Ewy pojawił się dziwny wyraz.

— Jeśli Rafael mówi, że jest to świetna historia, to chcę ją także usłyszeć. On ma niekłamane wyczucie do takich spraw.

Rafael podniósł kieliszek pod światło świec. Obracał go powoli śledząc świetlne refleksy tańczące po obrusie. Wyraźnie cieszył się, że Christine patrzy na niego z lękiem. Nie spieszył się. W końcu zaczął opowiadać ze wszystkimi detalami historię o zamienionej walizce.

Ewa bawiła się wspaniale, a kiedy opisywał, jak Christine stała przed nim mokra w płaszczu przeciwdeszczowym, nie mogła opanować się od śmiechu.

Christine zdrętwiała. Dlaczego on to robi? Czy chciał zwalić całą winę na nią, czy też znajduje przyjemność w dręczeniu jej. Słuchała go jednym uchem, pogrążona w niewesołej zadumie. Carlos zauważył jej podłe samopoczucie.

— Takie pomyłki zdarzają się często — rzucił mimochodem. — W zeszłym roku leciałem z Buenos Aires do Limy, a mój bagaż wylądował w Mexico City. Musiałem pojawić się na oficjalnym przyjęciu w pożyczonym garniturze.

Christine spojrzała na niego z wdzięcznością. Wiedziała, że chciał jej pomóc, zamknąć już tę sprawę.

Jednak Rafael przejrzał plan brata. Nie dał się powstrzymać, zanim nie opowiedział wszystkich szczegółów, włącznie z wyciąganiem z walizki koszuli nocnej oraz bielizny.

Ewa ściągnęła brwi.

— Amerykanie mają dziwne przyzwyczajenia.
— Pocałowała Rafaela w policzek. — Mój biedny, to był na pewno dla ciebie szok.

Rafael uśmiechnął się pod nosem.

— Wyobraźcie sobie moje zdziwienie, kiedy ta dziewczyna chciała mnie niemalże wsadzić do więzienia za napaść.

„To byłoby zbyt piękne”, myślała wściekle Christine, rozkoszując się wizją Rafaela za kratkami.

Przypatrywała się ze zmrużonymi oczyma, jak Rafael popija alkohol, a potem rozpiera się zadowolony z siebie, na krześle. Uśmiechnął się do niej, jakby byli starymi przyjaciółmi.

Christine zareagowała lodowatym milczeniem. Najchętniej rzuciłaby czymś w niego. Zamiast tego zwróciła się z promiennym uśmiechem do Carlosa.

4

Kiedy wracali, Carlos skorzystał ze sposobności, żeby usprawiedliwić swojego brata przed Christine.

Podając jej szal, szepnął:

— Proszę spróbować nie brać tego Rafaelowi za złe.

On porusza się tylko między artystami i malarzami. Trzeba mu wybaczyć brak ogłady. Jestem pewny, że nie spotkał jeszcze nigdy takiej dziewczyny jak ty.

Christine uznała, że to szlachetne z jego strony, iż tak bardzo stara się wziąć w obronę swego brata. Nie potrafiłaby powiedzieć mu szczerze, co sądzi o Rafaelu. Nie było po prostu usprawiedliwienia dla takiego zachowania. Pomimo tłumaczeń Carlosa, nie życzyła sobie więcej oglądać Rafaela Vargasa, a tym bardziej cokolwiek mu wybaczać.

Pożegnali się bardzo chłodno. Rafael zabrał Ewę do swojego samochodu, a Christine wsiadła do luksusowego auta Carlosa.

Jazda powrotna przebiegła w milczeniu. Christine przypatrywała się ciemnym budynkom, które mijali. Było już bardzo późno.

— Musisz się nauczyć robić sjęstę — przerwał milczenie Carlos. Zauważył, że Christine próbuje stłumić ziewanie. — My, *¿uitenos*, zawsze kładziemy się późno.

Christine skinęła głową.

— U nas w domu chodziliśmy spać najpóźniej o dziesiątej. Musieliśmy wszyscy wcześniej rano wychodzić z domu. Proszę się więc o mnie nie martwić. Jestem przyzwyczajona do wczesnego wstawania i obiecuję, że będę jutro punktualna.

— Jeśli przyjdiesz później, nie urwę ci przecież głowy. — Odwrócił głowę i uśmiechnął się do Christine.

— Susan powiedziała mi, że nie możesz ścierpieć niepunktualności.

— Proszę, proszę. Susan wyliczyła już moje wady. Co też jeszcze o mnie opowiadała? Że jestem potworem?

— Przeciwnie, że jesteś miłym i uprzejmym szefem. Co zresztą stwierdziłam już sama.

— Chciałbym, aby moi pracownicy byli zadowoleni. Spędzamy w końcu ze sobą całe dnie, a dobra atmosfera w pracy jest bardzo istotna. Czy widziałas już kiedyś kogoś równie okropnego jak ja?

Christine śmiała się.

— Nawet gdybyś się starał być okropny, nie wróżę ci powodzenia.

— Skoro tak uważasz, chyba odważę się prosić, żebyś podarowała mi jeszcze jeden wieczór. Bardzo bym się cieszył, gdybyś towarzyszyła mi na otwarciu wystawy Rafaela.

Christine nie odpowiedziała od razu. Zastanawiała się, jakby mu wyjaśnić, że nie chce już nigdy więcej spotkać jego brata.

Carlos najwyraźniej czytał w jej myślach.

— Nie martw się, Rafael będzie zbyt zajęty, żeby móc się kłócić z tobą — powiedział cicho. Zdjął rękę z kierownicy i chwycił Christine za ramię.

Jego miły styl bycia zmiękczył jej upór.

— Chętnie bym poszła. — Rafael Vargas jest wielkim artystą i żałowałabym, gdybym nie obejrzała jego prac. Poza tym wypaplał już wszystko, co miał o mnie do powiedzenia.

„I postaram się, żeby już nigdy więcej nie miał do tego okazji”, dodała w myślach.

W następnych dniach Christine musiała zaznajomić

się z nowymi zajęciami i poznać bliżej współpracowników. Szybko przyzwyczała się do wysokogórskiego klimatu w Quito i już w końcu tygodnia uczucie zmęczenia oraz zawroty głowy zniknęły bez śladu. Jej współpraca z Carlosem Toralem nie mogła być lepsza. Podczas pracy traktował Christine tak samo jak innych urzędników. Tylko wieczorem dzwonił zawsze do niej, pytał jak się czuje. Kilkakrotnie wychodzili razem na kolację.

W sobotę Christine znalazła po raz pierwszy okazję, żeby spotkać się z Susan. Obie dziewczyny mówiły już sobie na ty. Włączyły się wąską Calle de la Ronda w starym Quito.

Christine przystawała co chwila, żeby podziwiać jakiś szczególnie interesujący ogródek lub wspaniałą dróżkę, która prowadziła do podwórza ozdobionego kwiatami. I ciągle fascynowali ją Indianie, których twarze promieniały tajemniczą godnością. Ponad starymi kościołami wznosiły się zwieńczone czerwonymi dachówkami wieże. Turyści z wielu krajów kręcili się po wąskich uliczkach, pokrytych kocimi łbami.

Kiedy Christine i Susan zmęczyły się, usiadły w jednej z ulicznych kafejek na Plaza del Santo Domingo. Wypiły po kawie i zjadły po ciastku. Potem przeszły na drugą stronę, do Carrera Cuayaquil, gdzie znajdowały się nowoczesne sklepy.

Nagle Susan stanąwszy przed jedną z wystaw, chwyciła w podnieceniu ramię Christine.

— To go po prostu zwali z nóg! — krzyknęła zachwycona.

— Kogo?

— No, czy nie widzisz tej świetnej sukienki, tam z tyłu? Jest wręcz wymarzona na twoje dzisiejsze spotkanie z seniorem Toralem.

— Na miłość Boską, nie mogę nosić czegoś takiego — broniła się Christine. Próbowwała odciągnąć przyjaciółkę od wystawy, ale Susan stała jak wrośnięta w ziemię.

— Przymierz to przynajmniej. Gdybym miała twoją figurę, nie zwlekałabym ani chwili.

Sukienka była długa, niezwykle delikatna, zrobiona z kwiecistoniebieskiego szyfonu ściągniętego na skos falbanami, które czyniły spódnicę niezwykle szeroką. Jediną ozdobę stroju stanowił złoty, delikatnie wygrawerowany motyl na klamrze paska.

— Ten kolor pasuje do twoich włosów i oczu — rozmarzyła się Susan. — I to jest dokładnie twój rozmiar. Przymierz! Będę się tak samo cieszyć, jakbym sama ją miała na sobie.

Christine uległa w końcu naciskom przyjaciółki. Nigdy jeszcze nie widziała się w takiej sukience, a namowy Susan rozbudziły w niej ciekawość.

Kiedy wkrótce potem stanęła przed trzyczęściowym lustrem i spojrzała na swoje odbicie, aż zaniemówiła z wrażenia.

„To mam być ja?” — myślała.

Przełknęła ślinę i pomyślała o bawełnianach prostych sukieneczkach i kolorowych spódnicach w kratkę, które szyła dla niej matka.

— Ile to kosztuje? — zapytała sprzedawczyni. Gdy usłyszała cenę i przeliczyła ją na dolary, krzyknęła przerażona:

— To przecież połowa mojej miesięcznej pensji!

— Ta suknia jest tego warta. — Susan przyglądała się jej z lśniącymi oczyma. — Wyobraź sobie tylko, ile musiałybyś za nią zapłacić w Nowym Jorku.

— Wcale nie o to chodzi, Susan. Tylko... — zawiesiła na chwilę głos. — Jeszcze nigdy w życiu nie wydałam na ubranie więcej niż trzydzieści dolarów.

— Więc żyłaś jak kopciuszek! Czas najwyższy, żeby to zmienić. Gdybyś wydawała tyle pieniędzy co tydzień, sama powiedziałabym, że to wariactwo. Ale ten jeden jedyny raz, na szczególną okazję...

Christine skinęła w zamyśleniu głową.

— Masz rację, Susan — powiedziała wreszcie, zdecydowana. — Całkowitą rację.

Zwróciła się do sprzedawczyni:

— Biorę tę sukienkę. Starą się nie pokazać po sobie, jak mocno bije jej serce.

Kilka minut później dziewczyny opuściły sklep. Christine była oszołomiona. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę niesie pod pachą pudło z kosztownym zakupem.

Spacerowały jeszcze trochę, dopóki nie poczuły bólu nóg. Susan zaproponowała powrót do domu.

— Jeśli chcesz wieczorem dobrze wyglądać, nie wolno ci zapomnieć o sjeście — stwierdziła.

Mimo podniecenia zakupem, Christine zasnęła bez trudu. Potem wzięła pachnącą kąpiel.

Wreszcie założyła na siebie wymarzoną sukienkę, rozczesała długie, jasne włosy i spięła je z tyłu złotą kłamrą.

Uczucie dumy ustępowało powoli miejsca narastającemu zdenerwowaniu. Przechadzając się niespokojnie po pokoju, Christine przeglądała się w oknach wychodzących na patio. Wydawała się sobie równie elegancka, jak te modnie ubrane damy, które widziała tamtego wieczora w restauracji.

— Nie pasuję do tej sukni! — powiedziała nagle głośno. Obróciła się na pięcie i pobiegła do sypialni, przebrać się w swoją przywiezioną z domu sukienkę, w której Carlos widział ją już wiele razy.

Nie zdążyła. Przed jej domem zatrzymał się samochód. Usłyszała kroki, a potem dzwonek.

Christine nie pozostało nic innego, niż otworzyć drzwi. Zapomniawszy się przywitać, Carlos stanął i przypatrywał się jej z zachwytem.

— Czarująco dziś wyglądasz — powiedział w końcu. — Jestem bardzo dumny, mogąc towarzyszyć tak eleganckiej damie.

Christine nie zdradziła ani słowem, że właśnie chciała zmienić strój. Przyjęła z uśmiechem jego ramię.

— Bardzo dziękuję — odparła. Nieskrywany podziw Carlosa dodał jej odwagi.

Carlos otworzył jej drzwi do samochodu i Christine usiadła na pokrytym skórą siedzeniu.

— Obawiam się, że bardzo mało wiem o sztuce abstrakcyjnej — usprawiedliwiła się przed Carlosem, kiedy ten zajął miejsce za kierownicą. — Z domu w Twin Rivers znam tylko parę pejzaży. Mam nadzieję, że nikt nie będzie ode mnie oczekiwał błyskotliwych spostrzeżeń na temat wystawionych obrazów.

Carlos uśmiechnął się uspokajająco.

— Nie ma się czego bać — zapewniał. — Mało kto cokolwiek z tego rozumie, z wyjątkiem może paru studentów. I naturalnie krytyków, którzy przybyli na tę wystawę z całej południowej Ameryki. Ale tak naprawdę, przyjechali zobaczyć Rafaela, a nie jego dzieła. Dla nich jest ważniejsze, żeby mogli snobować się na znajomych sławnego człowieka. Skąd wzięła się jego sława, to już ich nie interesuje.

— To musi być niezwykle uczucie, mieć takiego brata — powiedziała Christine. — Proszę mi o tym opowiedzieć.

Carlos prowadził auto bardzo uważnie; pozwalał sobie tylko na krótkie spojrzenie w kierunku Christine.

Carlos zastanawiał się dłuższą chwilę, nim rzekł: — Naturalnie, cieszę się z Rafaela. Pokazał, że ma talent i dość siły, by zrealizować w życiu swoje zamiary. Ale, muszę przyznać, jako nagła sława zmartwiła trochę naszą rodzinę. Obawiam się, żeby nie uderzyła mu do głowy. Rafael musi dalej się rozwijać i ciągle dyskontować poprzednie sukcesy. A ludziom jego pokroju często zdarza się zbyt wcześnie osiadać na laurach.

Christine spoglądała na migocące za oknem samochodu neony mijanych restauracji i kawiarni.

— Wydaje mi się, że Rafael należy do tych mężczyzn, którzy nie boją się ryzyka — odparła.

Carlos westchnął.

— To zależy jakiego. Widzisz, pod wieloma względami zupełnie nie potrafię go zrozumieć. Pozostawał zbyt długo poza domem. Swoją karierę zrobił przecież za granicą. Odmawiał przyjęcia od matki jakiegokolwiek

pomocy, chciał dokonać wszystkiego o własnych siłach. Ale z drugiej strony, jak wszyscy artyści, jest trochę... jakby to powiedzieć... niepoważny. Boję się trochę, że nigdy się nie ustakuje.

— To zabrzmiało, jakbyś uważał go za playboya — stwierdziła Christine i pomyślała, że przecież takie było jej pierwsze wrażenie, kiedy zobaczyła Rafaela Vargasa.

— Nie, nie całkiem tak — Carlos skrzywił na parking koło miejskiego muzeum. — Naturalnie, w życiu Rafaela było dużo kobiet. Ale odkąd jest w Quito, nie ma ani jednej. Oprócz Ewy — dodał.

Na jego twarzy pojawił się cień zastanowienia.

— Bueno! — zawołał. — Teraz obejrzymy sobie z bliska krytyków z Quito. Chodźmy, Christine.

Sala wystawowa urządzona była z dyskretną elegancją, w jasnych kolorach. Christine przystanęła na moment, zdumiona. Takich obrazów nie oczekiwała. Trudno było nazwać je abstrakcyjnymi! Nie uszło jej uwagi, że zebrani goście podzielają jej zaskoczenie. Nowy styl Rafaela Vargasa zadziwił wszystkich.

— Nie widzę żadnego z tych abstrakcyjnych obrazów, które on ostatnio malował — zwróciła się Christine do Carlosa, gdy podawał szatniarzowi ich okrycia.

— Jestem tym również zdziwiony. — To prawie wyłącznie motywy indiańskie. Nie przypuszczałem nigdy, że w ogóle zajmuje się takimi rzeczami. Ciekawe, kiedy znalazł na to czas.

— Właściwie go nie miałem — na dźwięk tego głosu, Christine poczuła delikatny dreszcz.

— Te obrazy pochodzą z mojego, jak to nazywam, okresu nostalgii za domem — mówił uśmiechnięty Rafael. — Malowałem je w zeszłym roku, po skończeniu serii „Zachód Słońca”; może ją znacie, zdjęcia były często publikowane w czasopiśmie. Pogoda w Londynie była wtedy okropna, zima, jakiej tam dawno nie widziano. Siedziałem trzy miesiące w zasypanym śniegiem mieście i tęskniłem za moimi górami w Ekwadorze, za tą wieczną wiosną w Quito. I wtedy przypomniałem sobie o szkicach, które zrobiłem pewnego razu jeszcze jako uczeń, kiedy to uciekałem w góry, żeby rysować. Miałem je na szczęście przy sobie, i dzięki temu powstały te obrazy.

— Musiał pan chyba pracować dzień i noc! — krzyknęła zdziwiona Christine. — Tak wiele ich jest... i to wszystko powstało w ciągu trzech miesięcy?

Rafael przyglądał się jej, zmrużywszy oczy.

— Dzień i noc, ma pani całkowitą rację. Chętnie bym poznał pani zdanie o moich pracach, jeśli uda się pani w tym ścisiku wszystkie obejrzeć. — Odwrócił się do brata. — Twoje również, hermanomio. Boję się, że krytycy będą mnie rozszarpywać. Dlatego chciałbym już wcześniej dowiedzieć się, co myśli publiczność.

Christine z wdzięcznością przyjęła złożoną przez Carlosa propozycję oprowadzenia jej po wystawie. Jednak kiedy stanęli przed pierwszym płótnem, rzucili się do nich jego przyjaciele, witając go hałaśliwie i z miejsca zaczynając ożywione rozmowy.

Christine poszła więc dalej sama. Nie przeszkadzało to jej. Chciała obejrzeć obrazy i wyrobić sobie zdanie o nich.

Prace Rafaela uderzały tym samym, wywierającym niesamowite wrażenie światłem i kolorem, które zwróciły uwagę Christine w prasowych reprodukcjach. Ale teraz, gdy stała przed oryginałami, wrażenie spotęgowało się wielokrotnie. Wpatrzona we wzorzyste, indiańskie motywy, wkrótce zapomniała całkowicie o swoim otoczeniu. W zadumie przechodziła od jednego płótna do drugiego.

Szczególnie przykuł jej wzrok portret pasterza z Andów. Zniszczona od wiatru twarz o oczach, z których bił nieomalże nieziemski spokój...

Obrazy poruszyły jakąś strunę w duszy Christine. Nieoczekiwanie zaczęła patrzeć na Rafaela Vargasa innymi oczyma. Myślała o tym, że wszystkie dzieła powstały na podstawie rysunków, które on wykonał jeszcze jako dziecko. Jakież bogactwo uczuć i jaka wrażliwość musiały się kryć w tym człowieku..-

Na obraz, przed którym stała, padł cień. Christine wzdygnęła się, dostrzegając obok siebie Rafaela.

Nie mogła teraz z nim rozmawiać.

Gwałtownie przeszła do następnego dzieła, on jednak ruszył za nią.

— Ten obraz chyba spodoba się pani najbardziej — powiedział. — To jest Ursulina, Włoszka. Poznałem ją w czasie studiów w Paryżu.

Christine dopiero teraz zauważyła, co przedstawiało płótno. Naga dziewczyna, mniej więcej w jej wieku, stała w wyzywającej pozie przy adamaszkowej kotarze, uśmiechając się uwodzicielsko.

Christine zarumieniła się. Przeklinała w duchu swój brak obycia prowincjuszki z Twin Rivers.

— Ona... ona jest całkiem miła — wydusiła z siebie
— Ale myślałam, że maluje pan tylko Indian.

— To dobry, stary szkic. Długo poniewierał się po mojej pracowni, zanim sobie o nim przypomniałem — objaśnił Rafael. Na jego twarzy zagościł zagadkowy uśmiech. — Nie mogłem pozostawić tej dziewczyny na pastwę losu, tak bardzo się cieszyła, że ją malowałem. Miała prawo zostać pokazaną.

Rafael przypatrywał się Christine. Nagle sięgnął po kosmyk jej włosów i zaczął kręcić nim w palcach. Potem dotknął szyi dziewczyny, jakby chciał upewnić się co do jej linii. Jego ręka powoli przesuwiała się na dół...

— Chętnie bym panią namalował, Christine
— usłyszała cichy, proszący głos, tuż koło ucha.
— Obiecuję, że będzie to dzieło sztuki.

Christine miała wrażenie, że rozpalono w niej ogień, który gotów był ją doszczętnie "spopielić". Na moment poddała się upajającemu, dotąd nie znanemu uczuciu. Zaraz jednak ujrzała szydercze spojrzenie Rafaela, i natychmiast powrócił jej rozsądek.

Odsunęła się od niego sztywno.

— Myślę, że znajdzie pan tu dosyć dziewcząt, które zemdleją ze szczęścia na myśl o rozbieraniu się przed panem.

Od razu zrozumiała, że źle to zabrzmiało. Rafael zmrużył oczy, jego twarz spochmurniała.

— Czy myśli pani, że marzę o zerwaniu z pani ubrania? — zapytał lekceważąco. — Tuziny kobiet są gotowe natychmiast dla mnie pozować, nago albo i nie. Dlaczego myśli pani, że jest kimś szczególnym?

Christine robiło się na przemian zimno i gorąco. Pewnie uważa, że jest pruderyjna. Naturalnie — prowincjuszka, niepoprawnie naiwna... Złościło Christine, że tak ją oceniał.

— Mógłby pan być trochę delikatniejszy — odparła chłodno. — Ale najwidoczniej nie ma pan nic innego do roboty, jak tylko stale mnie obrażać. Jeśli nie akceptuje mnie pan takiej jaką jestem, to proszę mnie zostawić w spokoju.

— Powoli zaczynam mieć dosyć ciągłego wysłuchiwania pani oskarżeń. Pierwszego wieczoru, kiedy się spotkaliśmy, nazwała mnie pani kłamcą. Niedawno w restauracji uważała pani, że jestem powierzchowny. A teraz jestem nieczuły? Kiedy w końcu pani z tym przestanie?

— Myślę, że oceniam pana dobrze, Senior Vargas. Jak dotąd, nie dał mi pan powodu, abym zmieniła zdanie. Pański brat jest prawdziwym dżentelmenem, ale pan wygląda na gbura!

Christine wyrzuciła z siebie te słowa, drżąc na całym ciele. Jeszcze nigdy w życiu nie obrzuciła żadnego człowieka takimi epitetami.

— Nie ma sensu dyskutować — oświadczył zimno i ściągnął wysoko brwi. — Szkoda mi czasu na przebywanie z takimi kobietami jak pani, obojętnie jak by nie były one czarujące.

Odchodził już, kiedy raptownie odwrócił się.

— Jeszcze tylko jedno — powiedział spokojnie. — Ta suknia w ogóle do pani nie pasuje. Kolor jest w porządku, ale nie powinna pani nosić tak eleganckich strojów. To nie w pani typie.

Okręcił się na obcasie i znikł w tłumie.

Mimo, że jeszcze niedawno myślała podobnie, teraz gotowała się ze złości, że przyszło jej właśnie od niego usłyszeć to zdanie. Jak śmiał ten nieznośny facet ją krytykować!

W tym samym momencie zobaczyła Carlosa, który kierował się w jej stronę. Trzymał przed sobą dwa kieliszki szampana. Nie zauważył chyba, w jakim stanie znajduje się Christine. Podał jej kieliszek i zagadnął wesoło.

— Krytycy jeszcze się ze sobą zgadzają — zakomunikował. — Jedni są zachwyceni, inni utrzymują, że to krok w tył. Jednak większości zwiedzających obrazy się podobają. Myślę, że Rafael może uważać tę wystawę za sukces.

— Cieszę się — mruknęła Christine, wbrew własnemu przekonaniu.

Resztę obrazów obejrzała już razem z Carlosem. Musiała przyznać, że wszystkie zdradzały mistrzostwo. Nie rozumiała, jak udało mu się tak subtelnie wlać w swoje wizje życie.

Kiedy Carlos odwiózł ją później do domu i pocałował delikatnie na pożegnanie, zastanawiała się nad wielką różnicą między mężczyzną a jego pracą.

Carlos to bankier, od którego zawód wymaga komputerowego umysłu, a nie głębokich uczuć. Mimo to był on zawsze uprzejmy, miły i pełen zrozumienia. Rafael natomiast, artysta w swojej pracy delikatny i uczuciowy, zachowywał się ordynarnie i grubiańsko. Gdy porównywała obu braci, Carlos zdawał się być bez wątpienia lepszym człowiekiem.

Rozmyślając tak, Christine poszła do sypialni. Zdjęła niebieską suknię, i przebrawszy się w szlafrok zaczęła przygotowywać sobie w kuchni filiżankę gorącej czekolady.

Myślała przy tym o pocałunku Carlosa. To było dziwne — nic specjalnego nie poczuła.

A co by było, gdyby pocałował ją Rafael? Zastanawiała się.

A potem pomyślała, że jednak lepiej będzie nie zastanawiać się nad tym.

5

W klubie tenisowym i golfowym spotykali się zamożni i wpływowi aúitenos, pracownicy konsulatów oraz wielu obcokrajowców z Europy i Ameryki Północnej, którzy znaleźli w tym mieście nową ojczyznę.

Christine i Susan poszły tam następnego dnia. Zagrały kilka setów, po czym usiadły zgrzane przy jednym ze stolików przed klubową restauracją, popijając paico i przyglądając się graczom.

Susan ciągle miała coś do opowiadania. Christine przysłuchiwała się jej z roztargnieniem. Myślała o wczorajszym wieczorze.

Znowu widziała obrazy i rysunki Rafaela, które tak jej się podobały. Zwłaszcza portret starego pasterza...

Nagle zapragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o Indianach i ich życiu.

Drgnęła, kiedy zobaczyła mrugającą jej oczyma Susan.

— Marzysz? Christine, pytałam cię o coś!
— Przepraszam, zamyśliłam się.
— Wyglądałaś jak kochanek wzdychający do księżycy — rzuciła ze śmiechem Susan. Chciałam tylko wiedzieć, czy nie masz ochoty czegoś wypić. Idę do baru.

— Dziękuję, nie. Jeden drink wystarczy mi na tej wysokości aż nadto. Tak poza tym, pomyślałam, że jestem już dwa tygodnie w Ekwadorze, a jeszcze wcale nie zwiedziłam okolicy Quito. Wiesz gdzie można znaleźć prawdziwą indiańską wioskę?

— Masz rację — odparła Susan. — Siedząc ciągle w klubie nie można nic zobaczyć. Co myślisz o tym, żebyśmy wybrały się w nadchodzącą sobotę do Otavalo? Tam będzie wtedy dzień targowy.

Christine natychmiast podchwyciła pomysł.

— Rynek? To przecież cudownie!

— Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele. To tylko mały wiejski targ, który odbywa się każdej niedzieli. Musimy jednak wyjechać dość wcześnie. Najlepiej będzie wziąć taksówkę.

Przez cały tydzień Christine oczekiwała z niecierpliwością tej wycieczki. Ale w piątek Susan niespodziewanie zachorowała.

— To nic groźnego — zapewniała. — Prawdopodobnie zjadłam coś, co mi zaszkodziło.

Po południu jednak stan jej się pogorszył. Musiała pojechać do domu i położyć się.

Christine zajrzała do Susan wieczorem. Miała prawie trzydzieści dziewięć stopni gorączki. Pobladła tak, że prawie nie dawało się dostrzec jej piegów.

Christine nalegała, aby wezwać lekarza. Zaczekała, aż ten przyszedł. Okazało się, że Susan ma ostrą grype i musi zostać kilka dni w łóżku.

— Jedź do Otavalo beze mnie — mówiła zachrypnięta. — Nie ma żadnego powodu, żebyś cały weekend spędziła przy mnie. Jedź i baw się dobrze.

Christine uśmiechnęła się.

— Mówisz dokładnie tak, jak moja mama.

— No, chyba posuwasz się za daleko! Jestem od ciebie starsza tylko o cztery lata. — Susan spojrzała na Christine podpuchniętymi oczami. — Rzeczywiście. Chrissy, ty nie potrzebujesz już matki. W porównaniu z tą dziewczyną, która czuła się tak bezradna pierwszego dnia w Quito, bardzo się zmieniłaś.

— Widać, jak mnie mało znasz. Będę Cię zawsze potrzebować.

Susan uśmiechnęła się pod nosem.

— Nie mogę sobie przypomnieć, abyś pytała mnie kiedykolwiek o radę w sprawie twojego spotkania z Seniozem Toralem.

— Dlaczego zahaczasz właśnie o niego?

— Ach, pytam się tylko, czy nie pojechałabyś do Otavalo z nim?

— Tak myślisz? Zastanowię się jeszcze nad tym.

Obiecawszy przywieźć Susan z targu zioła przeciw zapaleniu gardła, Christine poszła do domu.

Otworzyła okno i spojrzała na mieniące się od światła miasto. Ten widok zawsze ją fascynował.

Zastanawiała się nad propozycją Susan i pytała sama siebie, dlaczego właściwie na to nie wpadła? Carlos był zawsze dobrym towarzyszem i przyjacielem.

Mimo to nie umiała go sobie wyobrazić, jak idzie przez targ w swoich lśniących butach i ogląda plecione koszyki lub tkaniny. Wiedziała, że jeżeli się zgodzi, zrobi to tylko ze względu na nią. Carlos nie był mężczyzną, który z własnej inicjatywy chciałby zobaczyć coś takiego.

Znów pomyślała o pełnym wyrazu, tryskających życiem obrazach Rafaela. Wiedziała, że oczarowało go życie prostych Indian. On chętnie skorzystałby z takiej okazji...

Christine odpędziła myśli o tym mężczyźnie i zamknęła okno. Jeśli zamierzała być jutro rano wyspana, musiała się już kłaść.

Kiedy zadzwonił budzik, miała wrażenie, że spała zaledwie kilka chwil. Jednak już dniało. Niechętnie opuściła przytulne łóżko.

„Dlaczego właściwie to robię”? — pytała siebie, idąc do łazienki. Zimny prysznic obudził w niej życie.

Założyła niebieskie dzinsy, żółty sweter, wełniane skarpety i wygodne buty. W kuchni zrobiła sobie szybko filiżankę kawy, zjadła bułkę i zadzwoniła po taksówkę. Kiedy opuszczała dom, pierwsze promienie słońca odbijały się złociście na śniegu najwyższych szczytów górskich.

Klekocząca taksówka opuściła Quito, jadąc szybko na północ. Christine obserwowała krajobraz. Była wdzięczna Susan, że poradziła jej wybrać się na tę wycieczkę.

Nie mogło być na to lepszego poranka. Chłodne, czyste powietrze orzeźwiło ją wkrótce zupełnie.

Stoki gór tkwiły jeszcze w chmurach. Zielone plamy uprawnych pól mieszały się z pszenicznymi łanami. Między nimi przebłyskiwały od czasu do czasu łąki. Przy drogach kwitły łąbiny i chabry, upiększając pejzaż swymi czerwonymi, niebieskimi oraz purpurowymi płatkami.

Przejeżdżali obok Indian, okrytych tradycyjnymi, ręcznie tkanymi sukniami. Mężczyźni nosili kapelusze. Kobiety w swoich długich, wzorzystych spódnicach i owiniętych wokół ramion mantę wyglądały niezwykle kolorowo. Christine podziwiała też dzieci, które sprawiały wrażenie, jakby nigdy nie płakały. Może dlatego, że czuły się bezpiecznie tuż przy ciele matki, noszone całymi dniami na jej plecach.

Starsze dzieci wyglądały jak pomniejszone odbicia swoich rodziców. Nosiły takie same ubrania. Dorośli mężczyźni i kobiety idąc ulicami patrzyli przed siebie bez żadnego wyrazu, poruszając miarowo szczękami. Żuli kokę. Jej sok działał orzeźwiająco, odpędzał zmęczenie, głód i pragnienie.

Christine była zachwycona tą podróżą. W Ekwadorze czuła się już jak w domu, choć przebywała tu tak niedługo. Wydawało jej się wielkim szczęściem, że przybyła właśnie do tego, tak fascynującego kraju. Dopiero tu dowiedziała się, ile możliwości niesie życie.

Wysiadłszy wreszcie z taksówki rozejrzała się i mimowolnie wstrzymała oddech. Robiła już raz zakupy na targu Starego Miasta w Quito w pobliżu wąskiej, krętej Calle de la Ronda. Był to plac, który do czasów hiszpańskich najeźdźców mało się zmienił. Ale tamten targ nie umywał się do Otovalo.

Niezliczone stoiska, rozstawione na kwadratowym placu, ciągnęły się aż do odległych domów. Indianie z Otovalo niczym nie przypominali tych, których dotąd poznała. Nie sprawiali nieprzyjemnego wrażenia — byli weseli, ożywieni i często się śmiali. Ich ponćios oraz białe lub brunatne kapelusze lśniły czystością. Czarne, świecące włosy nosili splecione w warkocze, opadające na plecy. Kobiety siedziały za stołami lub po prostu na ziemi, przed rozłożonymi towarami.

Jednak, mimo atmosfery ożywienia i gwaru, na placu panował spokój. U kupujących, sprzedających i targujących się nie zauważyła oznak zdenerwowania.

Małe dzieci siedziały dookoła straganów lub bawiły się na rozpostartych na ziemi dużych, wełnianych kocach. Miejscami jakaś kobieta nalewała chochlą gorącą zupę do cynowego talerza, jeśli ktoś z rodziny lub klientów był głodny. Inne sprzedawały świeżo upieczone placki kukurydziane.

Christine zapamiętała tę jedyną w swoim rodzaju, pełną wyrazu scenerię. Tak musiało być tu już od pokoleń. Może nawet od tysięcy.

Włączyła się między straganami, od czasu do czasu kupując jakiś ładny drobiazg. Nagle jej zainteresowanie wzbudził bardzo duży wybór wyrobów z gliny, leżących na jednym z koców. Christine ukłękła, żeby dokładniej je obejrzeć. Wzięła do ręki gliniany drążek, przewiercony w środku. Przypominał drewniane wrzeciono, jakich używały indiańskie kobiety.

Obejrzała ten kruchy kawałek gliny ze wszystkich stron, zastanawiając się, jak stary może on być i dlacze-

go go sprzedawano. Chciała właśnie zapytać o cenę, kiedy padł na nią cień.

Miała wrażenie, jakby poraził ją prąd. Za nią stał Rafael Vargas. Jego duże, ciemne oczy odebrały jej zdolność do jakiegokolwiek reakcji. Wydawało jej się, że trwało to całą wieczność, kiedy tak przyglądała mu się bez ruchu.

W końcu wsunął pod lewe ramię szkicownik i wyciągnął prawą rękę, żeby pomóc Christine wstać. Poczowała dotyk dłoni Rafaela i jej serce zabiło szybszym rytmem. Natychmiast puściła jego rękę.

— Cóż za niespodzianka — powiedział Rafael, błyskając białymi zębami w opalonej twarzy.

Christine wydała się sobie małą dziewczynką, która nie wie, jak ma się zachować. Z trudem wzięła się w garść.

— Nie wiem, czym pan jest tak zaskoczony. Otowało to w końcu główna turystyczna atrakcja w tej okolicy.

Rafael uśmiechnął się.

— Myślałem, że spędzi pani sobotę na kupowaniu sukienek w Quito — stwierdził dość nonszalanckim tonem.

Na tę ukrytą przymówkę do jej gustu, Christine poczuła na policzkach rumieniec.

Rafael Vargas chwycił ją nieoczekiwanie za rękę.

— Pokażę pani targ — rzekł tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Nie mogłaby pani znaleźć lepszego przewodnika.

Perspektywa spędzenia całego dnia w towarzystwie Rafaela napawała ją przestraczem.

— Jestem pewna, że ma pan ważniejsze sprawy do załatwienia, niż marnowanie czasu na mnie — broniła się.

— Skończyłem już na dziś pracę — odpowiedział niewzruszony, wskazując na swój szkicownik. — Teraz jest czas na zabawę i rozprężenie.

„Maluje więc tutaj” — pomyślała i poczuła się dziwnie szczęśliwa. Mimo to nie miała zamiaru spędzić z nim wolnego czasu.

— Przyjechałam tu po zakupy, Senior Vargas. Trzeba było poszukać sobie innej towarzyszki.

Wyprostował się. Jego oczy błysnęły taką złością, że Christine aż mimowolnie się cofnęła.

— Niech pani nie będzie niepoważna — rzucił.

— Znam język Quechu i mogę pomóc w zakupach.

— Pańskie talenty są chyba niewyczerpane, co? ,

— zadrwiła, próbując uwolnić się od jego uścisku. Rafael jednak trzymał ją mocno.

— Czy chce pani, żebym pokazał co umiem? — zapytał i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głowy.

— Cieszyłbym się, mogąc spełnić pani prośbę.

Christine czuła palenie policzków. Miała wrażenie, że zaraz zgniecie jej dłoń.

Aby ukryć swoje pomieszenie obróciła się ku najbliższemu straganowi, udając, że ogląda ręcznie tkane chusty.

Rafael Vargas puścił natychmiast jej ramię. Ociągał się przez moment, po czym zaczął przebierać w stosie materiałów.

— To by pani wspaniale pasowało — wyciągnął duży ciemnoniebieski szal. Niebieski to pani kolor.

0/

Obserwował ją krytycznie.

— Przy tym stroju pani oczy będą lśnić jak górskie jeziora — dodał.

Christine przyglądała mu się wbrew własnej woli. Uraz do tego mężczyzny znikł nagle, ustępując miejsca całkiem innemu uczuciu. Nie umiała tego opisać, ale czuła się bardzo dziwnie.

Rafael rozmawiał cicho i szybko z siedzącą na ziemi kobietą. Chwilę później Christine trzymała w rękach przepiękną chustę.

Podziękowała Rafaelowi za pomoc.

— Skąd pan tak dobrze zna ten język? Musi być bardzo trudno się go nauczyć.

— Tak, jest trudny — odparł — ale warto zadać sobie ten trud. Dzięki Bogu, nauka języków przychodzi mi łatwo. Moja matka wychowała się we Francji, dlatego w domu mówiło się zawsze po francusku lub hiszpańsku. Angielski miałem naturalnie w szkole. Quechua interesowałem się szczególnie. To stary język Inków, który przetrwał do dzisiejszego dnia. Jest niezwykle bogaty. Myślę, że w żadnym innym języku nie można wyrazić tak dobitnie uczuć kogoś, kto kocha. Ale ten język prawdopodobnie wkrótce wymrze.

— Dlaczego?

Rafael Vargas potrząsnął smutno głową.

— Ponieważ nigdzie nie został zapisany. Kiedy zniknie ten styl życia, umrze z nim też język. Jesteśmy tak dumni z naszej technologii i inteligencji, że całkowicie zapomnieliśmy o wielu moralnych i estetycznych wartościach. Właśnie ci biedni i staromodni

Indianie z Andów zachowali w sobie czyste i lepsze rozumienie piękna życia.

Mówił zupełnie poważnie, zatopiony w swych myślach. Christine była mile zaskoczona, odkrywając w nim zupełnie innego człowieka. To nie był już Rafael Vargas — wzięty artysta, który uwielbiał być punktem zainteresowania, lecz delikatny, świadomy poczucia obowiązku mężczyzna.

Czuła jakoś, że nie z każdym rozmawiał tak jak z nią, czuła się z tego dumna.

Ich spojrzenia spotkały się i Rafael obudził się z zamyślenia. Uśmiechnął się do Christine, proponując spacer i wspólny obiad.

— Chyba, że chce pani coś jeszcze załatwić — dodał.

Christine kupiła już bluzkę dla swojej matki i koszyk na pozostałe zakupy. Pokręciła głową, jednak zaraz przypomniała sobie o ziołach dla Susan.

Rafael Vargas śmiał się, kiedy mu o nich powiedziała. Zaprowadził Christine do przeoczonego przez nią straganu, na którym sprzedawano lecznicze rośliny.

Wybrał zioła, zawinął starannie ich pęczek w kartkę ze swojego szkicownika i włożył do koszyka Christine.

— Indianie bardzo dobrze znają się na ziołach — stwierdził.

— Mogłabym tu przez cały dzień chodzić i robić zakupy — powiedziała. — Ale boję się, że mnie na to nie stać. Pomyślała o małym wrzecionie, które na pewno kosztowałyby połowę jej tygodniowej pensji.

Rafael zaprowadził dziewczynę do małej, bocznej uliczki, gdzie zaparkował samochód.

Uprzejmie otworzył jej przednie drzwiczki, a sam usiadł za kierownicą. W duchu musiała przyznać, że wyglądał nieprawdopodobnie urzekająco; wysportowany mężczyzna w prostej, białej koszuli z odpiętym kołnierzem i białych wełnianych spodniach.

Rafael zawiózł Christine do sąsiedniej wsi i zaprowadził do śmiesznej restauracji, gdzie stało pół tuzina stołów i krzeseł z surowego drewna.

Zestawił wspaniały posiłek. Zaczęli od lorco — zupy z kartofli, przyprawionej serem, serwowanej z plasterkiem awokado. Potem podano pieczonego kurczaka z pomidorami a następnie cherimoya, owoc o zielonej skórce ze śnieżnobiałym mięszem, którego smak przypominał Christine połączenie truskawki i ananasa.

Podczas posiłku Rafael opowiadał o życiu Indian, a Christine słuchała go oczarowana.

— To ciekawy naród — zgodziła się. — Wydaje mi się, że nie został zrozumiany przez obcych.

— Zewnętrznie zmienili się na pewno, odkąd hiszpańscy najeźdźcy przybyli do kraju. Ale kiedy rozmawiam z Indianami z Otovalo, mam czasami wrażenie, że my dla niego w ogóle nie istniejemy. Jakbyśmy byli duchami.

— To musi być śmieszne uczucie, być uważanym za ducha.

Christine drgnęła. — Ale mimo to są bardzo przyjaźni.

— Dlaczego nie? Como no? My ludzie z miasta, płacimy w końcu za ich wyroby.

Wracając do samochodu, Rafael zaproponował:

— Niedaleko stąd leży San Pablo. Jeśli nie spieszy się pani do domu, mógłbym pokazać pani czarujący widok. Moglibyśmy też popływać.

Christine dziwiła się coraz bardziej, jak miłe stało się dla niej nagle towarzystwo Rafaela Vargasa. Zgodziła się chętnie.

— Ale z pływania nic nie będzie. Nie mam kostiumu kąpielowego.

— Ja mam jeden, który będzie zapewne na panią pasował — odpowiedział, bez żadnego ruchu twarzy i obrzucił wzrokiem jej figurę.

Christine zaczerwieniła się po uszy, na co Rafael zareagował niepohamowanym śmiechem.

— Christine, artysta jest przyzwyczajony oglądać ciało kobiety zarówno ubrane, jak nagie, w każdej pozycji, bez dopatrywania się w nim niczego zdroźnego. To należy do mojego zawodu. Ten kostium, który mam w samochodzie, będzie na pani bardzo dobrze leżał.

„Okay” — pomyślała — „on jest artystą. To w końcu taki sam układ, jak u lekarza”.

Uwagi Rafaela dotyczące oczu Christine, które sprawiły, że serce zaczynało bić jej szybciej, również były prawdopodobnie tylko zdaniem malarza, wyczułonego na niuanse kolorów.

Podczas jazdy Rafael objaśniał jej gospodarcze i polityczne problemy tego kraju oraz jego historię. Wiedział dużo na ten temat, choć spędził długi czas za granicą.

Ulica wiła się powoli w górę, obrzeżona szpalerami

drzew eukaliptusowych o srebrnych, błyszczących liściach. Rosły przy ukrytych, ale malowniczo położonych wioskach i łąkach górskich, na których pasło się bydło.

W końcu osiągnęli San Pablo. Ciemne, niebieskie jezioro górskie leżało w cieniu kilku wulkanów. Christine wydała z siebie okrzyk zachwytu. Niczego pięknieszego dotąd nie widziała. Ciemna powierzchnia wody nie poruszała się, jakby jezioro ukrywało w swojej głębi jakąś tajemnicę.

— Tak jak obiecałem — rzekł. — To wspaniałe miejsce, czy nie tak?

Skinęła głową; nie była w stanie nic powiedzieć.

— No, to pora na kąpiel! — Rafael otworzył bagażnik samochodu i podał Christine czarny kostium. Dla siebie wyjął białe kąpielówki.

— Najpierw przebierze się pani. Obiecuję nie podglądać.

Odwrócił się.

Christine uniosła wyżej kostium. Był dla niej śmieszny. Czy należy do kogoś, czy też Rafael przechowywał go przewidując podobną sytuację?

Odpędziła te myśli, rozebrała się szybko i naciągnęła na siebie kostium. Był trochę za mały i ledwie zakrywał biust. Na jej szczupłej figurze sprawiał wrażenie drugiej skóry.

Kiedy się obróciła, Rafael miał już na sobie białe spodenki. Jego oczy błysnęły, dostrzegła w nich zachwyty. Poczuli się szczęśliwi, nie tylko dlatego, że była dumna ze swej figury. Nie, to było coś innego, coś czego jeszcze nie znała.

Budził się w niej dziwny niepokój.

— Może przemyśli pani jeszcze raz swoją odmowę, Christine powiedział nagle Rafael, niezwykle łagodnie. Naprawdę — chciałbym panią namalować — Potem dodał ze śmiechem — Naturalnie całkowicie ubraną.

Christine nie mogła nie odwzajemnić uśmiechu.

— Chętnie będę panu pozować — odparła niespodziewanie dla siebie samej. — Będzie to dla mnie zaszczyt. Ale nie mogę pojąć, dlaczego chce pan właśnie mnie malować?

Nie odpowiedział, tylko obrzucił ją tajemniczym spojrzeniem. Gwałtownie obrócił się i pobiegł wąską, kamienistą ścieżką w dół, do jeziora.

Christine ruszyła za nim. Jak przyciągana magiczną siłą patrzyła na jego muskularne plecy i silne nogi. Czuła nieodpartą potrzebę, aby przeciągnąć dłonią po jego skórze i poczuć grę mięśni. Jednak już po chwili, kiedy tylko wskoczyła do lodowato zimnej wody, uczucie to znikło.

Przez kilka sekund próbowała złapać powietrza, ale jej ciało oswoiło się szybko z niską temperaturą. Starali się nurkować naprzeciw siebie, chlapali się wodą, śmiali się, bawili jak małe dzieci. W końcu położyli się na plecach i pozwolili się unosić wodzie, mając nad sobą niebieskie niebo.

Christine wyobraziła sobie, że na świecie istnieją tylko ona i Rafael. Nieoczekiwanie poczuła się niesamowicie szczęśliwa i marzyła, żeby ten dzień nigdy się nie skończył.

Jednak po chwili Rafael przywołał ją do rzeczywistości.

— Musimy wracać, jeśli chcemy jeszcze wypić filiżankę herbaty w Cayambe i obejrzeć zachód słońca.

Popłynął w stronę brzegu. Christine podażyła za nim.

— Kąpiel dobrze mi zrobiła — powiedziała, chwytając ręcznik, który rzucił jej Rafael. Wytarła się i zaczęła suszyć włosy. — Dziękuję, że mnie pan tutaj zabrał — dodała, z oczami iskrzącymi się z radości.

Rafael nie odpowiedział, nie potrafiła też niczego wyczytać z jego spojrzenia.

Wieczorne półcienie otaczały ład miękkim, rozproszonym światłem. Kontury rozplływały się powoli i zmieniały całą scenerię w pastelowy obraz.

Christine była przytłoczona wspaniałym widokiem. Odwróciła się do Rafaela; on jednak spoglądał w zadumie na horyzont.

Patrząc na jego profil, czuła bijącą od mężczyzny magnetyczną siłę. Tego uczucia także nigdy dotąd nie zaznała.

Każde jego przypadkowe dotknięcie budziło w Christine coś, czego nie rozumiała. Wiedziała jednak, że nie może tego po sobie pokazać.

Rafael Vargas okazał się dziś szarmanckim mężczyzną. Czy znaczyło to jednak, że powinna mu ufać? Christine zauważyła, że łatwo zmienia on nastroje. A poza tym, Carlos opowiadał jej, jak lekko postępuje jego brat z kobietami.

Należało więc być ostrożną.

W Cayambe odpoczęli chwilę, wypili herbatę i zjedli smakowite bischoches, długie rurki z ciasta.

Słońce znikło za górami, zapadła już ciemność.

W milczeniu wracali do Quito. Rafael zaparkował przed domem Christine.

— Dziękuję panu za najcudowniejszy dzień, jaki mogłam kiedykolwiek przeżyć.

Rafael pochylił się do przodu i otworzył schowek. Wyciągnął z niego małą, zawiniętą w papier paczuszkę i podał Christine.

— Proszę otworzyć — powiedział. i

Spojrzała na niego niepewnie, po czym powoli rozwinęła opakowanie. Zaniemówiła, zobaczywszy małe, gliniane wrzeciono, które podziwiała na targu w Otovalo.

— Pamiątka z dzisiejszego dnia, jeśli pani chce — rzekł Rafael jak gdyby nigdy nic.

Och, co za wspaniały człowiek z niego! Może jednak źle go oceniałam?

— Dziękuję... bardzo dziękuję — wyjąkała i spojrzała na niego; na jej rzęsach pojawiły się łzy.

Potem wszystko potoczyło się tak szybko, że Christine nie mogła się ani przez chwilę zastanowić.

Rafael chwycił ją i przycisnął mocno swoje wargi do jej ust. Christine ogarnęło słodkie odurzenie. Życzyła sobie, żeby pocałunek ten nie miał końca. Wszystko pchało ją ku Rafaelowi, o którym naprawdę nie wiedziała już, co myśleć.

Nagle, równie gwałtownie, odsunął się od niej.

— Cholera! — rzucił przez zaciśnięte zęby. — Przepraszam panią na moment.

Christine poczuła się, jakby oblano ją lodowatą wodą. Zmieszana spojrzała za Rafaelem i zobaczyła biały sportowy samochód. Za kierownicą siedziała

Ewa Viramonte, dziewczyna, którą poznała jako przyjaciółkę Rafaela. Nawet w ciemności miała wrażenie, że widzi złośliwość w jej kocich oczach. Kiedy Rafael wysiadał, biały samochód ruszył i przemknął obok z piskiem opon.

Christine otworzyła drzwiczki, nie potrafiąc się zdobyć na podniesienie oczu. Rafael jednak nie zwracał na nią w tej chwili najmniejszej uwagi, wpatrując się w znikające auto. Christine wiedziała, że ich spotkanie nie było przypadkiem. To było typowe zachowanie kobiety, która chciała zademonstrować swoje wyłączne prawo do Rafaela Vargasa.

„Nie będę Ci już nigdy wchodzić w drogę, Ewo Viramonte” — pomyślała Christine. „Nigdy nie będę należeć do tych kobiet, które krążą wokół Rafaela jak ćmy wokół świecy”.

To była Ewa, prawda? — zapytała, wysiadłszy z samochodu. Rafael popatrzył ze złością na Christine.

— Czy to ważne? — wybuchnął.

Poczuła się mocno zraniona jego reakcją. Zacięła wargi.

— Myślę, że powinienes być trochę bardziej dyskretny — stwierdziła gorzko. — Ewa należy do kobiet, które potrafią być bardzo zarozumiałe.

Rafael spojrział na Christine z zaskoczeniem. Potem mruknął coś pod nosem, obrócił się i usiadł znów za kierownicą.

Uciekła do domu. Nie mogłaby teraz nawet spojrzeć na Rafaela.

Christine rozłożyła ubranie na krześle i podeszła do okna. Wpatrywała się w granatową ciemność nocy. Nagle wydała się sobie samotna i opuszczona.

„Gdybym mogła być teraz w domu” — myślała w zwątpieniu. „Znalazłabym wtedy wewnętrzny spokój i zapomniała o wszystkim, co zdarzyło się między mną a Rafaelem”. >

Powoli odwróciła się i poszła do kuchni. Podgrzała sobie zupę z puszki i po jedzeniu jeszcze długo siedziała przy stole. Ciągle zastanawiała się, dlaczego ten piękny dzień musiał się tak skończyć.

Chociaż była zmęczona, nie potrafiła zasnąć. Rafael miał rację. Była rzeczywiście niepoprawnie naiwna. Jak mogła choć przez sekundę uwierzyć, że taki mężczyzna jak Rafael będzie ją kochał? Miała wrażenie, iż widzi pałające złością oczy Ewy. Nakryła sobie głowę kołdrą, ale ten obraz nie znikł.

Przypomniał się jej prezent Rafaela. Wskoczyła z łóżka, przyniosła gliniane wrzeciono i jeszcze raz obejrzała je ze wszystkich stron. Dlaczego kupił jej tak kosztowny prezent? Czy była to sprawa chwilowego humoru? A może chciał ją wobec siebie zobowiązać?

Nagle wrzeciono przestało się jej podobać. Zawinęła je ponownie i wcisnęła pod stertę swetrów w szafie.

Jeśli nie będzie go więcej oglądać, zapomni o Rafaelu. Ta myśl trochę ją uspokoiła. Mimo to zasnęła dopiero po kilku godzinach.

Rano obudził ją telefon. Zaspana podniosła słuchawkę, by usłyszeć głos Carlosa.

— Szukam cię od wczorajszego wieczora — powiedział. — Właśnie przyjechali moi przyjaciele z Buenos Aires. Chcemy dziś po południu pograć w tenisa, a potem zjeść razem kolację. Miałabyś ochotę pójść z nami?

Christine była nawet zadowolona z tego zaproszenia. Mogła wreszcie zacząć myśleć o czym innym.

— Naturalnie, Carlos, chętnie się wybiorę.

— Wspaniale. Zarezerwowałem miejsca od czwartej. Przyjechać po ciebie?

— Nie, nie trzeba. Spotkamy się w klubie, dobrze?

Christine zjadła śniadanie w patio, korzystając ze wspaniałego bezwietrznego poranka. Potem wykapała się, założyła dres do tenisa, związała włosy w koński ogon i poszła do Susan.

Ta, mimo choroby, aż trzęsa się z niecierpliwości.

— Miło, że w końcu się pokazujesz — pozdrowiła przyjaciółkę z wyrzutem. — Czuję się jak na bezludnej wyspie. Nic nie mogę robić. Od czytania i telewizji zaraz mam bóle głowy.

Christine zaparzyła przyniesione zioła. Susan, spróbawwszy naparu, skrzywiła się z obrzydzeniem.

— Pfuj, do diabła, to okropne! Ale pomoże, ci Indianie znają się na tym.

Odważnie wypija jeszcze łyk i spojrzała z ciekawością na Christine.

— No, teraz opowiadaj. — Wskazała na brzeg łóżka. — Chodź, usiądź sobie. Jakie przygody przeżyłaś w Otovalo?

— Żadnych — skłamała w odpowiedzi, unikając wzroku Susan.

— Dzień był ładny, a targ bardzo interesujący.

— Ej? Podejdz tutaj! Nie jestem aż taka chora, żebym nie zauważyła, że coś przede mną ukrywasz. No, wyrzuć to z siebie, albo zmuszę cię do wypicia tej trucizny.

— Tak — westchnęła Christine. — Wpadłam na brata Carlosa. On tam był i szkicował.

— I?

— Co, „i”? Wiesz, Susan, jesteś gorsza niż moja matka!

— Już mi to powiedziałaś wczoraj. Nie pojechałaś więc z Seniosem Toralem. Szkoda, na pewno skorzystałby z tej okazji, żeby ci się oświadczyć. Ale to nie ucieknie... Nie myśl, że nie jestem bezinteresowna; kto cię wyszukał wśród tych wszystkich dziewcząt?

— Uderzyła się w piersi. — Ja, Susan Boyer!

Christine nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

— Susan, ja nie mam zamiaru wychodzić za Carlosa.

— Dlaczego nie? — krzyknęła. — On jest szarmanckim, obytym mężczyzną. Ma wystarczająco dużo pieniędzy i jest w tobie zakochany.

— Och, mylisz się. On jest tylko miły dla mnie, nic więcej.

— Wcale nie tylko! On jest miły dla każdego, tak samo jak jego brat, a...

Christine poderwała się z łóżka.

— Jego brat? To arogant, wyniosły i...

— Poczekaj chwilę! — przerwała nagle Susan.

— Muszę najpierw wytrzeć sobie nos, a nie chcę przepuścić żadnego twojego słowa.

Chwyciła za chusteczkę higieniczną.

-* No, teraz możesz opowiadać dalej — stwierdziła, opadłszy z powrotem na poduszkę. — Co powiedziałas o bracie Carlosa?

Christine westchnęła tylko i poszła do kuchni przygotować przyjaciółce posiłek. Postawiła wszystko na tacy i położyła na nakryciu przyniesioną z ogrodu różę.

Podawała Susan tacę i pożegnała się z nią, zanim ta zdążyła o cokolwiek jeszcze zapytać. Christine obiecała zajrzeć następnego dnia.

Carlos czekał już ze swymi przyjaciółmi przy małym stoliku obok kortu tenisowego.

— Christine, pozwól, że przedstawię ci państwa Billa i Mercedes Simpsonów. Bill jest konsulem amerykańskim w Buenos Aires, stamtąd też pochodzi jego żona.

Grali dwójkami i Christine musiała przyznać, że pozostali byli od niej dużo lepsi. Carlos, jako partner w grze, pozwolił jej zwyciężyć, ale to była tylko uprzejmość z jego strony.

Bill i Mercedes chcieli zagrać jeszcze raz w pojedynkę. Christine poszła w tym czasie do klubu napić się czegoś. Carlos towarzyszył jej przez chwilę, potem się rozstali. Christine chciała jeszcze zajrzeć do szatni, wziąć prysznic i przebrać się do obiadu.

Długo stała pod wspaniałe chłodną wodą. Natępnie wytarła się boso, owinięta w ręcznik, skierowała się w stronę szafy, gdzie zostawiła ubranie.

Przebierając się podsłuchiwała niechcący rozmowę

dwóch kobiet, toczoną po hiszpańsku. Musiały stać za następnym rzędem szaf. Christine naprawdę nie chciała tego robić, ale kobiety mówiły zbyt głośno.

— Ta Amerykanka — powiedziała pogardliwie jedna z nich — przystawia się to do jednego brata, to do drugiego. Wyobraź sobie, że ten jeden ją kocha, ale to jej nie wystarczy. Musi podrywać jeszcze drugiego.

— Rzeczywiście wstrętne — zgodziła się druga. — Jak te dziewczyny się zachowują? Przyzwoita ałiteno nigdyby tego nie zrobiła. Po co jej dwóch mężczyzn jednocześnie?

— I do tego braci, hermanos. Czarownica z tej Amerykanki. Takich ludzi powinno się wysłać z powrotem do ich kraju...

Christine osunęła się na ławkę. Nie miała wątpliwości, o kim płoktowały te dwie kobiety. Długie, blond włosy, niebieskie oczy, dwaj bracia...

Ale komu zależało na tym, żeby rozpowiadać o niej takie rzeczy?

W pewnym momencie Christine rozpoznała głos jednej z kobiet: Ewa Viramonte!

Aż podskoczyła, rozgniewana do granic możliwości. Chciała tej kobiecie natychmiast powiedzieć swoje zdanie! Ubrała się. W zdenerwowaniu zapomniała założyć buty, wybiegła w samych skarpetkach. Chciała zamknąć usta Ewie Viramonte, zanim jej paplanina rozejdzie się po całym Quito.

Obie kobiety stały w pobliżu wejścia na plac treningowy. Oczy Ewy rozszerzyły się na moment, gdy zobaczyła Christine biegnącą w jej kierunku. Potem na jej twarzy pojawił się kwaśny uśmiech.

— Och, jak uroczo znowu panią widzieć, Christine.
— Przykro mi, Ewo — odezwała się Christine.
— Ale trudno mi w to uwierzyć. Nie mogłam nie usłyszeć, jak mnie pani przed chwilą oczerniała!

Ewa zaśmiała się głośno i spojrzała znacząco na swoją towarzyszkę.

— Maria i ja wiemy co mówimy, nieprawdaż, moja kochana? Christine trzęsła się ze złości.

— Nic pani nie wie! Dobrze, Rafael Vargas pocałował mnie, ale to zdarzyło się wbrew mojej woli. I mam nadzieję, że nie dotknie mnie już nigdy.

— Ja też mam taką nadzieję — odparła Ewa. Przyjazny wyraz znikł z jej twarzy. — Choćby dla pani własnego dobra, querida. Ponieważ, kiedy Carlos odkryje, że flirtuje pani z jego bratem, wyciągnie z tego konsekwencje. Jak pani myśli, długo trzeba, żeby całe Quito o tym wiedziało?

— Nie obchodzą mnie *ąitenos*! Niech pani zatrzyma dla siebie swoje ploty, a nikt nie będzie nawet wiedział, że w ogóle tu jestem.

Ewa zmarszczyła butnie twarz.

— W każdym razie będzie to dla pani nauczka. Radzę pani trzymać się z daleka od Rafaela, inaczej zatroszczę się, żeby nie miała pani co robić w Quito.

Christine zaniemówiła. Ewa posłała jej lodowaty uśmiech i odeszła dumnie.

Ze złością Christine wróciła do szatni. Choć obie kobiety opuściły już przebieralnię, w jej uszach wciąż jeszcze brzmiały te ironiczne głosy. Miała nadzieję, że inni tego nie słyszeli.

Czesząc włosy, myślała już o całej tej historii dużo spokojniej. W pewnym stopniu Ewa miała rację. Christine powinna przecież myśleć o opinii innych. Poza tym wiedziała dobrze, że Rafael był dla niej niebezpieczny.

Nie mogła zapomnieć, jak namiętnie odpowiedziała na jego pocałunek. Nie mogła tego mężczyzny więcej widzieć. Dopiero, gdy opuści miasto, żeby przygotowywać wystawy w innych krajach, zazna spokoju.

Christine odłożyła rakieta na półkę, wzięła torbę i wróciła do pomieszczenia klubowego.

Carlos zamówił francuskiego szampana. Christine zajęła miejsce obok Mercedes Simpson i wkrótce rozmawiały obie tak swobodnie, jakby znały się już od dawna. Niemiłe spotkanie z Ewą poszło w niepamięć.

— Proszę posłuchać, Christine — odezwał się nagle Simpson — powinna się pani zastanowić, czy nie zechciałaby pracować u mnie w konsulacie. Oddałbym prawą rękę dla takiej sekretarki.

— On chce przez to powiedzieć — dorzuciła Mercedes, kładąc rękę na ramieniu Christine — że życzy sobie codziennie mieć tak szczególną osobę jak pani obok siebie. Cieszę się, że tak nie jest.

— No cóż, nie jestem ślepy — zaśmiał się Bill, poklepując rękę swojej żony. — Mimo to, moje sekretarki mogą być tak straszne, jak chcą, byle tylko umiały prawidłowo pisać. A takich jest niestety mało.

Podano jedzenie. Bill wypytywał się o rodzinę Carlosa.

— Czytałem — powiedział nagle — że Rafael wrócił Jo Quito. Mieszka u ciebie, prawda?

— Tak — odparł Carlos — to zarówno jego jak i mój dom. Urządził sobie pracownię i prawie z niej nie wychodzi. Ale niedługo tu zostanie. Chce jak najszybciej przygotować nową wystawę w Paryżu.

Christine ten temat wcale się nie podobał. Była zadowolona, gdy Carlos przeszedł do czego innego i rozpromieniony obwieścił, że ma jeszcze jedną niespodziankę.

— Wspaniale! — krzyknęła Mercedes. — Zawsze, kiedy tu przyjeżdżamy, masz dla nas niespodziankę. Co nią jest tym razem?

Carlos przybrał tajemniczy wyraz twarzy.

— Pelota de auante! — zapowiedział.

— Piłka ręczno-nożna? — przetłumaczyła Christine. — Co to jest?

— Ekwadorski narodowy sport — wyjaśniła Mercedes zachwycona. — Coś podobnego do baseballu, ale bardziej podniecające. Zawsze chciałam zobaczyć tę grę.

Bill był mniej zadowolony.

— Wolę operę i balet — stwierdził. — Ale jeśli Mercedes ma ochotę, to ja naturalnie też pójdę. Czy masz już bilety?

Carlos wyciągnął etui na listy i wyjął z niego cztery karty wstępu.

— To są bardzo dobre miejsca. — Spojrzał na Christine. — Nie zapytałem jeszcze wcale, czy ciebie to w ogóle interesuje?

— Nie jestem co prawda miłośniczką sportu, ale chętnie pójdę. Sprawia mi przyjemność obserwowanie podczas gry widzów.

Wyruszyli zaraz po jedzeniu, samochodem Carlosa. Wysadził ich przed bramą wejściową stadionu Po-bre-Diablo.

— Wejdźcie już do środka — poprosił. — Ja muszę jeszcze poszukać miejsca do parkowania. To wcale nie jest proste przy takim ruchu.

Stadion był duży, oświetlony mnóstwem reflektorów. Christine i Simpsonowie znaleźli miejsca siedzące; kilka minut później zjawił się Carlos.

Na trybuny wchodziło coraz więcej widzów i wkrótce wszystkie miejsca siedzące były już zajęte.

Kiedy pojawiły się drużyny, powstał nieziemski hałas; kibice krzyczeli na całe gardła, jak to się dzieje na wszystkich stadionach świata. Christine poczuła się nagle ogromnie zmęczona; oczy zamykały się jej same. Prawie nie słyszała, jak Mercedes objaśniała jej reguły gry-

Straciła poczucie czasu, nie wiedziała jak długo siedziała na swoim miejscu, gdy nagle kibice z przeciwnej strony zaczęli wrzeszczeć z radości, wskakiwać na siedzenia i biegać jak pomyleni. Setki z nich wyległo na boisko, świętując zwycięstwo swojej drużyny.

Dopiero teraz Carlos zauważył, że Christine ledwie się trzyma na nogach.

— Zawiozę cię do domu. Czy dasz jeszcze radę podejść do samochodu? Do parkingu jest kawałek drogi.

— Tak, dojdę, Carlos — zapewniała Christine.

Zrobił się straszny ścisk, wszyscy chcieli opuścić stadion jak najszybciej. Christine trzymała mocno rękę Carlosa, przepychając się w tłumie.

Do tunelu, który prowadził ku wyjściu, dotarli jeszcze razem. Jednak na ostatnim stopniu schodów Christine potknęła się i upadła. Podniosła się z trudem, ale Carlos znikł już gdzieś, porwany przez ludzki prąd. Panicznie bała się, że wrzeszczący, sunący do przodu tłum kibiców po prostu ją strątuje. Udało jej się przedrzeć na przeciwległą stronę tunelu. Oparła się wyczerpana o słup.

Nadal nie mogła dojrzeć Carlosa i Simpsonów. Po krótkim odpoczynku odważyła się znowu ruszyć i pozwoli przesuwawała się do wyjścia, gdzie ścisk trochę zelżał.

Przystanąła niezdecydowana, rozglądając się po ulicy. „Carlos mnie znajdzie” — uspokajała się. Postanowiła czekać i nie ruszać się z miejsca. Kiedyś w końcu podjedzie samochodem. Przyglądała się przejeżdżającym autom, lecz żadne się nie zatrzymywało.

Zbliżyła się do niej grupa wyrostków. Krzyczeli głośno, jeden przez drugiego, i wyraźnie mieli chęć zabawić się w z extranjera. Na szczęście kilka ostrych słów po hiszpańsku zdeprymowało ich na tyle, że poszli dalej.

Czas mijał. Christine nadal czekała. Nagle usłyszała głośne trąbienie. W pobliżu zatrzymał się samochód, kierowca skinął w jej kierunku. Kiedy nie zareagowała, otworzył drzwiczki. Dopiero teraz rozpoznała Rafaela Vargasa.

— Christine, wsiadaj! — krzyknął.

Ociągając się podeszła do samochodu.

— Czekam na Carlosa — wyjaśniła.

— On już nie przyjedzie. Jak długo czekasz?

— Nie wiem... może dwadzieścia minut.

— Prawdopodobnie stoi przed innym wejściem. Wsiadaj, poszukamy go.

— Ale ja nie mogę... — zaczęła, lecz Rafael przerwał jej szorstko.

— Czy jesteś pewna, że tędy wchodziłaś? Jest sześć wejść do stadionu i wszystkie wyglądają tak samo.

Christine spojrzała zirytowana na Rafaela.

— Carlos objechałby wszystkie wejścia, żeby mnie znaleźć.

— Ale cię nie znalazł, inaczej by nas tu nie było. No chodź już, nie możesz stać tu całą noc.

— Ja czekam — odparła z uporem.

Rafael wymamrotał jakieś przekleństwo. Potem wyskoczył z samochodu i chwycił Christine za nadgarstek.

— Puść mnie natychmiast! — krzyczała, ale on nie zwracał na to uwagi. Pchnął ją na przednie siedzenie i zamknął drzwi.

Wściekle, ale i ze strachem patrzyła przed siebie. Co pomyślałby Carlos, gdyby zobaczył ją w samochodzie Rafaela? A co dopiero Ewa, dowiedziawszy się o tym?

Rafael uruchomił silnik i włączył się w ruch uliczny. Przejechał obok wszystkich sześciu wejść, ale nigdzie nie można było znaleźć Carlosa ani Simpsonów.

Christine była bliska zwątpienia.

— Co teraz zrobić? — jęczała. — Carlos będzie się martwił...

— Uspokój się — Rafael mówił tak, jakby zwracał się do małego dziecka. — On jest zbyt rozsądnym mężczyzną, żeby od razu wpadać w panikę. Pomyśli, że

znalazłaś jakąś możliwość dotarcia do domu. Tam będzie cię szukał. I dokładnie tam teraz jedziemy.

— Nie, Rafael! — pomyślała o ostrzeżeniu Ewy.
— Pozwól mi wysiąść, proszę, na jednym z przystanków.

Rzucił jej zdziwione spojrzenie.

— Nie bądź dziecinna, Christine. Zawiozę cię teraz do domu, czy tego chcesz czy nie, i koniec dyskusji.

Manewrował samochodem, aż dotarł do ulicy wylotowej. Rozluźniony oparł się o siedzenie, odjął jedną rękę od kierownicy i położył ją na oparciu fotela Christine.

— Teraz zdradź mi proszę, moja piękna Ofelio, dlaczego tak się boisz, żebym przypadkiem nie zbliżył się do twojego domu?

— To nie o to chodzi — wymamrotała.

— Czyżby Carlos był zazdrosny? — dopytywał się dalej.

— Nonsens. Mogę robić co chcę.

— Okay. Ale mimo to czegoś się boisz. Mnie?

Wyprostowała się w fotelu. — Pewnie byś tego chciał, co? Wyglądasz na dokładnie takiego mężczyznę, jakim jesteś.

— A jakim jestem mężczyzną? — spytał uśmiechając się.

— Potworem! Porywasz mnie, wciągasz do swojego samochodu i przesłuchujesz jak policjant.

— No, to, bardzo interesujące. Przypisujesz mi więc porwanie, rabunek i morderstwo. — Śmiał się. — Może i jestem takim facetem. Zamorduję cię z miłości i powieszę na twoich długich, jasnych włosach.

— Rafael, ty zwariowałaś! Pozwól mi wysiąść?

— Niemożliwe, moja kochana. Nie możesz o północy iść pieszo wzdłuż autostrady. Obawiam się, że musisz spojrzeć w oczy najgorszemu — jesteś w drodze do swojego domu. Wpadłaś w sidła Rafaela Vargasa, osławionego mordercy pięknych kobiet.

Wyglądało na to, że bawi się wspaniale, nabierając Christine. Jednak dla niej nie było to zabawne. Zastanawiała się, gdzie mogła u niego znaleźć czuły punkt, żeby zemścić się za to porwanie.

— Morderca kobiet jest niewłaściwym określeniem!
— zaprzeczyła.

— Czyżby? — Jego głos zabrzmiał nagle dziwnie.

— Przypatrywałam ci się w samolocie, jak podrywałeś stewardesy. Takich jak ty zauważam od razu. U nas mówimy na to Ladykiller albo playboy.

— Czy naprawdę myślisz, że taki jestem?

— Tak, ale to nie wszystko. — Christine poczuła, że znalazła właściwą drogę. — Nazywasz się artystą, ale wcale na to miano nie zasłużyłeś. To prawda, masz wiele talentu, może nawet jesteś geniuszem. Ale prawdziwy artysta jest szlachetny, wrażliwy i skromny. A ty, Rafaelu Vargas, jesteś egoistyczny i bezwzględny. Żałuję tych kobiet, które dały ci się omotać.

Już kiedy mówiła, miała wrażenie, że obeszła się z nim trochę za surowo, ale nie potrafiła się zatrzymać.

Twarz Rafaela zamarła jak maska.

— Jeszcze nie spotkałem nigdy nikogo takiego jak ty, Christine. Chyba nigdy nie przestaniesz atakować mnie tymi swoimi prowincjonalnymi oskarżeniami, co? Nie rozumiem, co mój brat w tobie widzi. Ale zawsze lepiej, że to on, a nie ja!

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, nacisnął mocno na hamulec, aż zapuszczają opony. Potem skręcił w prawo i zatrzymał samochód dokładnie przed domem Christine.

— Nie odprowadzę cię do drzwi. Carlos mógłby przecież na ciebie czekać. Bez obawy, nie pocałuję cię. Twój pocałunek jest jak ukąszenie żmii pełen trucizny. A poza tym mógłby ktoś nas zobaczyć.

Przesunął obok niej rękę i otworzył jej drzwi.

— Dobranoc, Christine! — krzyknął za nią, gdy wysiadała. — Następnym razem zostawię cię samą, obiecuję!

7

Christine dopadła drzwi, jakby gonił ją diabeł. Kiedy była już przy nich, usłyszała, jak Rafael zawołał głośno jej imię. Odwróciła się powoli.

— Zapomniałem ci coś powiedzieć. Oczekuję cię jutro po południu, o wpół do szóstej, w mojej pracowni. Możesz wejść bocznymi drzwiami.

— W twojej... pracowni? — wyjąkała.

— Obiecałaś mi pozować — przypomniał.

— Nie, Rafael... — zaczęła, ale" nim dokończyła, zawarczał silnik i samochód ruszył.

Wchodząc do domu dygotała ze złości. W żadnym razie nie pojawi się jutro u niego!

Gdy stanęła już na swoim ulubionym miejscu przy oknie, dyszała jeszcze z przejęcia, spoglądając na światła Quito.

Rzeczywiście, obiecała mu to.

Przeklinała się za lekkomyślność. Ale tam, nad jeziorem, w San Pablo, wszystko wyglądało inaczej. Poddała się romantycznemu nastrojowi.

Odwróciła się i przeszła do saloniku. Usiadła w fotelu przy kominku i czekała na Carlosa.

Co powinna zrobić?

Nie chciała być z Rafaelem w pracowni sama. I nawet przy najlepszej woli nie mogła sobie wyobrazić, że on mógł tego chcieć. Czy musiał ciągle okazywać jej swoją wyższość?

Raptownie wpadło jej do głowy, że Carlos mieszkał w tym samym domu. A jeśli zauważy, że poszła do Rafaela?

Usłyszała szum auta i trzask drzwiczek samochodu. Wyszła przed dom, na spotkanie Carlosa.

— Wiedziałem, że zastanę cię w domu całą i zdrową — powiedział, wchodząc do sieni. — Bardzo mi przykro, Christine, ale ani Simpsonowie, ani ja, nie mogliśmy cię nigdzie znaleźć. Gdy chcieliśmy potem zabrać się sprzed wejścia, wyjazd z parkingu był zablokowany przez jakieś auto. Jak dotarłaś do domu?

— Przy... przyjaciel — odpowiedziała automatycznie, nie wiedząc dlaczego kłamie.

— Tak myślałem. No, grunt że cała przygoda dobrze się skończyła. Zostawiam cię samą. Oboje potrzebujemy odpoczynku.

Pocałował ją delikatnie i pożegnał się.

Chociaż Christine była zmęczona, nie miała jeszcze ochoty iść do łóżka. Musiała się zastanowić nad wieloma rzeczami.

Szczególnie leżało jej na duszy to kłamstwo. Dlaczego zataiła przed Carlosem, że to Rafael zawiózł ją do domu? Szukała argumentów, które mogłyby uspokoić jej sumienie, ale bezskutecznie.

Jakiś głos podpowiadał jej, że byłoby ważne powiedzieć Carlosowi prawdę.

Weszła do sypialni i przebrała się w koszulę nocną.

Jeśli nie pójdzie jutro do Rafaela, odwlecze to tylko sprawę. On będzie nadal nalegał. Co zrobić?

Christine weszła do łóżka i wpatrywała się w sufit.

Jeśli to by się wydało i doszło do Carlosa albo Ewy, skutki byłyby opłakane. Tkwiała w nie lada kłopotcie.

W Twin Rivers życie było nieskomplikowane. Christine nie nauczyła się postępowania w podobnych wypadkach.

Nagle przyszło jej do głowy rozwiązanie, zupełnie tak, jakby ktoś szepnął jej do ucha.

— Pójdę na to spotkanie — powiedziała do siebie głośno. — W końcu Ewa nie musi się o tym dowiedzieć. Ale powiem Rafaelowi wyraźnie, że pozuję mu po raz pierwszy i ostatni.

Praca w banku szła Christine następnego dnia bardzo dobrze. Na jakiś czas zapomniała o swoich problemach. Ale im bliżej było końca pracy, tym bardziej się denerwowała.

W końcu zamknięto drzwi hali kasowej. Christine przykryła swoją maszynę do pisania pokrowcem, zabrała torebkę i zesza marmurowymi schodami do wyjścia.

Serce łomotało jej ze strachu, gdy dotarła do willi Toralów i znalazła boczne drzwi.

Zapukała cicho i natychmiast jej otworzono. Rafael zaprosił ją gestem ręki do środka.

Christine rozglądała się na wszystkie strony, czy aby ktoś jej nie widzi. Nikogo nie zauważyła.

Rafael sprawiał wrażenie zupełnie spokojnego. Starał się nie dostrzegać jej nienaturalnego zachowania. Christine rozejrzała się po dużym pomieszczeniu i odkryła drugie drzwi, prowadzące najwidoczniej do innych pokoi.

W milczeniu obserwowała Rafaela, który rozstawiał sztalugi i ustawiał na właściwym miejscu pod oszklonym dachem wysoki stołek.

W zasadzie był to właściwy moment, aby poinformowała go o podjętej decyzji. Milczenie Rafaela onieśmiało ją jednak. Nie potrafiła wydobyć z siebie ani słowa.

W końcu był gotowy.

— Podejdz — rzekł. — Tutaj możemy najlepiej wykorzystać ostatnie promienie światła dziennego.

Wskazał na wysoki, obracany stołek. Usiadła.

Rafael natychmiast zatopił się w pracy. Obracał Christine w różne strony; pochylał ją do przodu, podniósł podbródek i cofnął się o krok, żeby po chwili namysłu znowu zacząć ustawiać dziewczynę niczym manekina.

Przy każdym jego dotknięciu Christine odczuwała to zniewalające uczucie, zapamiętane znad jeziora, i trudno jej było zachowywać dystans. Już choćby dlatego nie wolno jej było nigdy więcej pozować Rafaelowi. Musiała bronić się przed tymi dzikimi, głupimi zachciankami, które w niej budził.

W końcu znalazł dla niej odpowiednią pozycję. Christine siedziała z głową ugiętą lekko na bok i z odrobinę uniesioną twarzą.

— Que bella — szepnął Rafael. Chwycił za jej włosy i odsunął je do tyłu. Potem wziął szkicownik i, skoncentrowany, zaczął szybko rysować, obchodząc ją dookoła. W krótkim czasie zrobił dziesięć lub dwanaście szkiców.

Trudno jej było tak długo siedzieć w milczeniu. Bolały ją plecy. Pragnęła się o cokolwiek oprzeć. Rafael był jednak tak zajęty pracą, że nie ważyła się poprosić go o przerwę.

Jeśli zmieniła pozycję choć o milimetr, marszczył czoło, miał zaczęty szkic i rzucał go na ziemię.

Dla Christine trwało to całą wieczność. W końcu Rafael odłożył ołówek i przeciągnął się.

— Ciesz się, że nie chcę utrwalić teraz twego wyrazu twarzy — zaśmiał się. Wyglądasz, jak na torturach. Zejdź, aquerida. Czas na kawę.

Pociągnął za sznurek dzwonka przy drzwiach. Kilka minut później weszła starsza pani. Przyniosła tacę ze srebrnym czajniczkiem, dwoma nakryciami i talerzem wspaniałego, pachnącego ciasta. Postawiła wszystko na zdobionym, dębowym stoliku. Patrzyła przy tym z ciekawością na Christine. Na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

— Grazia, Beatrice — podziękował Rafael.

Gdy starsza kobieta opuściła pomieszczenie, wyjaśnił Christine:

— Beatrice pochodzi od ostatniego wielkiego władcy Inków.

Jałła ciastka i z zainteresowaniem słuchała, jak Rafael opowiadał o życiu Inków, o plemionach, które ukryły się na nizinach i stamtąd napadły na hiszpańskiego wroga.

— Jeszcze jeden rysunek, Christine — poprosił.
— Chciałbym utrwalić twój wyraz twarzy.

Usiadła znowu na wysokim stołku. Rafael sprawiał wrażenie odprężonego. Nie rysował już ołówkiem, lecz pastelową kredką.

Chociaż Christine wiedziała, że w tej chwili patrzy na nią oczyma fachowca, stawała się pod jego spojrzieniami coraz bardziej niespokojna. Nie potrafiła powstrzymać rumieńca.

Żeby ukryć swoje zakłopotanie, zaczęła rozmowę.

— Nie widziałam jeszcze nikogo, kto by był tak pochłonięty pracą — odezwała się. — Wyglądasz, jakbyś zupełnie się zapamiętał.

— Masz rację — odparł, nie przerywając rysowania. — Sztuka pochłania człowieka bardziej niż jakikolwiek zawód na tym świecie. Moja rodzina nie chciała, abym wybrał tę drogę. Sztuka jako hobby — tak, ale nie jako zawód. Ale ja zawsze byłem uparty i nie lubiłem się rozdrabniać. Zrezygnowałem ze wszystkiego innego.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się. Teraz nie był już natchnionym artystą, lecz mężczyzną, który odkrywał swoje serce.

— Musiałem z wielu rzeczy zrezygnować, ale dla sztuki zrobiłem to chętnie. Ona jest dla mnie wszystkim. I nic nie ma dla mnie w życiu takiego znaczenia, żebym mógł od niej odejść.

— Ale można przecież prowadzić normalne życie i być jednocześnie artystą — stwierdziła Christine.

— Nie! — odpowiedział. — Artysta, który zasłużył na to miano, musi umieć poświęcić wszystko swojej pracy. Normalne życie rodzinne jest dla niego całkowicie stracone. Jak mógłby cokolwiek osiągnąć, obciążony rodziną? Nie, małżeństwo nie jest dla takiego mężczyzny jak ja.

— Mówisz tak, jakby rodzina była czymś złym. Uważam, że rodzina jest najważniejszą rzeczą na świecie. Podstawą dla wszystkich cywilizacji...

— Cywilizacji? — żartował. — Daj spokój! Kobiety zahamowały już rozwój ludzkości przez to, że przywiązały nas, mężczyzn, do domów, zamiast pozwolić rozwijać nasze talenty. Kto wie, gdzie bylibyśmy dzisiaj, gdyby nie to.

— Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tak uważasz! — zirytowała się Christine. — Miliony kobiet w dziejach wspierały mężczyzn w osiąganiu ich celów. Dobra żona jest przyjaciółką, a nie przeszkodą!

— Wy, kobiety, możecie przykuwać do siebie normalnych mężczyzn, Christine — ciągnął Rafael. — Ale nie tych, którzy poświęcili się sztuce. Nie mogłabyś nigdy zmusić kogoś takiego jak ja do trwałego związku...

Christine chciała ze złością zeskoczyć ze stołka, lecz zawadziła nogą o poprzeczkę stokera. Rafael rzucił się natychmiast ku niej i podparł ją, zanim upadła. W jego oczach, które nagle znalazły się tuż przy twarzy Christine, dostrzegła coś, co zupełnie ją oszołomiło.

Rafael trzymał ją chwilę w objęciach i oboje patrzyli na siebie. Christine zaczęła drżeć na całym ciele.

Zapomniała sprzeczkę, zapomniała jego nieprzychylnie zdanie o kobietach. Nie pragnęła niczego innego, niż być przez niego całowaną.

Poczuła właśnie jego usta na swoich wargach. Rafael całował ją namiętnie, a ona odpowiadała na jego pocałunki z oddaniem, do jakiego była zdolna.

Twin Rivers, jej matka, złe zdanie jakie miała zawsze o Rafaelu Vargas — to wszystko znikło. Wiedziała tylko, że jest kobietą spragnioną miłości i czułości.

Jak z otchłani Christine usłyszała trzask zamykanych drzwi. Otworzyła oczy i zobaczyła Carlosa, który wszedł do pracowni. Zakłopotana uwolniła się z objęć Rafaela. W oczach Carlosa dostrzegła ból.

Była mu wdzięczna, że nie powiedział ani słowa o tym, co zobaczył. Naturalnie, on był w każdej sytuacji dżentelmenem.

Spokojnie, choć trochę sztywno, zamienił kilka słów z bratem i wycofał się.

— Na dworze czeka na mnie kupiec, Christine — wyjaśnił Rafael, jak gdyby nic się nie wydarzyło. — Jest zainteresowany jednym z moich obrazów. Musimy, niestety, na dziś skończyć. O której godzinie mogę oczekiwać cię jutro?

Christine przypomniała sobie raptownie, że jeszcze nie rozmawiała z Rafaelem. A po tym, co właśnie się między nimi wydarzyło, tym bardziej nie mogła więcej tu przychodzić.

— Przepraszam, Rafael — powiedziała. — Ale ja nie mogę więcej ci pozować.

Jego ciemne brwi ściągnęły się, a między oczami powstała spadająca zmarszczka.

— Ależ ja jeszcze nie skończyłem. Muszę zrobić znacznie więcej szkiców, aby zacząć cię malować.

— Przykro mi, Rafael. Ewa mnie ostrzegła i miała rację. Nie byłoby to fair ani w stosunku do niej, ani do Carlosa... ani także do mnie.

— Ewa! — zrobił nieprzychylny ruch ręką. — Jesteś bezmyślna i powierzchowna jak wszystkie kobiety, Christine. Zabrałaś mi całe popołudnie.

Odwrócił się bez słowa i wyszedł w ślad za bratem.

Carlos czekał na nią w przedpokoju. Patrzył na nią smutnie.

— Jeśli chodzi o mnie, nie musisz się martwić, Christine — odezwał się cicho. — Ty wiesz, co do ciebie czuję, choć nie powiedziałem o tym jeszcze ani słowa. Ale jeśli zdecydujesz się na Rafaela, zaakceptuję to.

Christine nie mogła się dłużej opanować.

— Ty w ogóle nic nie rozumiesz! Nienawidzę twojego brata, nic do niego nie czuję!

Po tych słowach wybuchnęła płaczem. Carlos objął ją troskliwie ramieniem.

— Chodź — powiedział. — Zawiozę cię do domu.

Trwało jeszcze chwilę, zanim Christine uspokoiła się. Carlos jechał powoli. Z ponurą miną patrzył na ulicę, jakby intensywnie nad czymś rozmyślał.

Wytarłszy ostatnie łzy, Christine spojrzała na niego z boku.

— Tak mi przykro, Carlos — próbowała się usprawiedliwić. — Wszystko spartaczyłam, nie? Zraniłam cię, a twojego brata zdenerwowałam... — Przerwała i dodała po chwili: — Ewa miała jednak rację.

Carlos odwrócił głowę.

— Co ma z tym wspólnego Ewa?

— Ja... ja... spotkałam ją wczoraj w przebieralni klubu. Twierdziła, że zabiegam o Rafaela, i radziła mi trzymać się z dala od niego.

Carlos wyglądał tak, jakby zastanawiał się nad tymi słowami.

— Nie wiedziałem, że widziałas się z Rafaelem od czasu otwarcia wystawy — rzucił wreszcie po dłuższym milczeniu.

— Spotkaliśmy się przypadkiem w Otovali, a ponieważ mówi językiem Quechua, pomógł mi przy paru zakupach. Spędziliśmy ze sobą całe popołudnie. A potem — dodała Christine jednym tchem, jakby chciała wyrzucić z siebie wszystko, zanim straci odwagę — ... to Rafael zabrał mnie ze stadionu.

— Ach, tak. Ale co ma z tym wspólnego Ewa?

— Widziała Rafaela ze mną, gdy wracaliśmy razem z Otovalo.

— Ewa jest podłą bestią — powiedział Carlos.

— Ona i Rafael są zaprzyjaźnieni od dzieciństwa. Nieraz przysparzała mu już kłopotów.

— Jestem pewna, że ona go kocha.

— Tak, też tak myślę. Dlatego widzi w tobie rywalkę. Ale według tego, co mówisz, to cię nie dotyczy — spojrzął badawczo na Christine.

— Naturalnie, że nie. Twój brat obchodził się ze mną cały czas podle. Pomyśl tylko o naszym pierwszym wieczorze. A poza tym wyjawiał mi dzisiaj swoje zdanie o kobietach. Niezbyt pochlebne.

Carlos zmarszczył czoło.

— To jest właśnie dziwne. Rafael w całym swoim życiu jeszcze nigdy nie był w stosunku do nikogo nieuprzejmy — oprócz ciebie...

— To potwór! — krzyknęła Christine. — Żałuję, że go spotkałam!

Carlos pogłaskał ją uspokajająco po rękę.

— Czy nie chcesz parę dni odpocząć? Tutaj jest bardzo znane miejsce wycieczek, wszyscy turyści są nim zachwyceni. Muszę wyznać, że jeszcze nigdy tam nie byłam. Trzeba pojechać koleją do Guayaguil. W pobliżu znajduje się otoczona legedną góra; nazwano ją Nazis de Diablo.

Christine zaśmiała się.

— Noc diabła? Co za nazwa!

— Tak. Myślę, że byłoby to coś stosownego do twego obecnego stanu ducha.

— Dlaczego jeszcze nigdy tam nie byłeś, Carlos? Stamtąd niedaleko przecież do twojego rodzinnego domu.

— Nienawidzę jazdy pociągiem. Wolę samolot. Rafael zawsze chętnie jeździł pociągiem, gdy odwiedzał naszą plantację.

— To rzeczywiście kuszący pomysł, aleja naprawdę nie potrzebuję odpoczynku. Życie, tu, w Quito, już jest dla mnie urlopem. Poza tym potrzebujesz mnie w banku.

— Nikt nie jest niezastąpiony. Nawet ty, aquerida.

— Carlos, nie chciałabym teraz wyjeżdżać. Do Nazis de Diablo mogę zawsze pojechać.

— Jak uważasz — rzekł — Mówiłaś, że chcesz jeszcze wpaść po drodze do Susan? Jesteśmy przed jej

domem. Czy będzie to dla niej kłopotliwe, jeżeli i ja wejdę na chwilę?

— Na pewno poczuje się zaszczycona.

Susan już od pewnego czasu czuła się lepiej. Gorączka i katar ustąpiły.

— Pewnie przyszedł pan, żeby sprawdzić, czy nie symuluję, co? — zapytała na widok Carlosa.

— Przeciwnie, pani Boyer. Jestem tu, aby skłonić panią do pozostania w łóżku, dopóki nie poczuje się pani lepiej. W żadnym wypadku nie chcę widzieć pani w banku, zanim rzeczywiście pani nie wyzdrowieje.

— Czy zauważyłaś, Chrissy? Oto jest surowy pracodawca. — Susan podkreśliła ostatnie słowo głośnym kichnięciem.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę w trójkę. Potem Carlos pożegnał się, poklepał Susan po ramieniu i pocałował Christine w czoło.

Kiedy zostały same, Susan krzyknęła natychmiast:

— No, gadaj!

— Co masz na myśli? — zapytała Christine, przeklinając w duszy ciekawość Susan.

— Tylko nic przede mną nie ukrywaj. Widzę przecież, że ryczałaś. Co się stało? Z powodu Seniora Torala na pewno nie płakałaś. On nie sprawia przykrości nikomu.

— Ach, Susan — wymamrotała Christine. Przysiadła na skraju jej łóżka, nagle uświadamiając sobie, jak bardzo jest nieszczęśliwa. — Nie wiem co się ze mną stało. Może nie służy mi powietrze Quito.

— Nonsens, jesteś normalna, jak zawsze. No, mów już i nie próbuj zmieniać tematu.

Christine wciągnęła głęboko powietrze.

— Znowu strasznie pokłóciłam się z Rafaelem Vargasem. On jest po prostu obrzydliwie arogancji! On jest... jest...

— No, tylko nie zaczynaj przeklinać — przerwała jej Susan i znowu kichnęła.

— On jest najbardziej autokratycznym mężczyzną, jakiego znam. Carlos to jego przeciwieństwo, zawsze przyjemny i miły...

— Dalej, dalej — nalegała Susan, gdy Christine milkła.

— I właśnie jemu wyrzodziłam ogromną przykrość. Widziałam jego oczy, kiedy zobaczył mnie z Rafaelem. Obawiam się, że Carlos jest we mnie zakochany.

— Naturalnie, że on cię kocha. To było dla mnie jasne od pierwszej chwili.

— Susan, co powinnam zrobić? — spytała bezradnie Christine.

— Nie wiem. Kochasz Carlosa?

Christine spuściła głowę i wpatrywała się w dywan.

— Nie — powiedziała w końcu. — Lubię go, nawet bardzo, więcej niż własnego brata. Ale nie kocham go.

— A więc kochasz tego Rafaela?!

Christine aż podskoczyła do góry.

— Ty chyba zwariowałaś? Nienawidzę Rafaela Vargasa! Jeśli chodzi o mnie, to może iść do diabła!

Na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy.

— Okay, okay, nie kochasz ani jednego ani drugiego. Więc w czym problem? Carlos to twój dobry przyjaciel, a jego brata nienawidzisz. On ciebie prawdopodobnie też. Wszystko jest w porządku.

— Ach, ja już nic w ogóle nie wiem. Czuję się okropnie. — Christine wzięła chusteczkę higieniczną ze stołu Susan i wytarła sobie oczy.

— Aleja wiem, czego potrzebujesz. Jest już późno. Idź do domu, weź gorącą kąpiel i połóż się spać. Jutro spojrzysz na to wszystko inaczej.

— Dziękuję, Susan, jesteś fantastyczną przyjaciółką. Zobaczysz, że wkrótce będziesz zdrowa. Bardzo nam cię brakuje w banku.

Powoli poszła przez ciemne ulice do swojego domu. Po głowie chodziło jej całe mrowie myśli. Dlaczego tak się zdenerwowała? Dlaczego sprawiało jej przykrość, gdy sprzeczała się z Rafaelem? Znała go przecież. Jak mogła mieć nadzieję, że się kiedykolwiek zmieni?

8

Kiedy Christine zbliżała się do swego domu, przy drzwiach wejściowych zobaczyła ciemną sylwetkę, która niespokojnie przechadzała się w tę i we w tę.

— Kto to? — spytała, starając się opanować lęk.

— No, wreszcie — odpowiedział głęboki męski głos. — Gdzie byłeś tyle czasu? Czekam na ciebie już dobre dwadzieścia minut.

Kolana Christine zrobiły się miękkie, a serce zaczęło bić jak oszalałe. Rozpoznała głos Rafaela.

— Czego chcesz? — spytała nerwowo, zatrzymując się w pewnej odległości od niego.

— No chodź już, Christine. Mam mało czasu. Chciałem ci tylko coś przynieść.

Podeszła do niego z ociąganiem. Mimo ciemności spostrzegła, że miał w ręku coś białego.

— Nie wiedziałam co to jest — odparła z rezerwą.

*— Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy weszli do domu?

Otworzyła drzwi i zapaliła światło w sieni.

Rafael poszedł za nią bez słowa. Podeszedł do okna i spojrzał na światła miasta.

— Masz ładny dom — zauważył. — Co prawda mały, ale za to ze wspaniałym widokiem.

Potem obrócił się i podał Christine rulon.

— To jest dla ciebie.

Christine wzięła go niepewnie. Były to zwinięte rysunki. Rozwiązała sznurek i zaskoczona rozpoznała szkice, które Rafael zrobił w pracowni.

— Dlaczego mi to dajesz? — spytała z zakłopotaniem.

— Do niczego mi nie potrzebne — odparł.

— W przyszłym tygodniu lecę do Europy, wystawić moje obrazy w Paryżu. Przedtem chciałem zrobić porządek w pracowni.

Christine była rozczarowana. Dlatego przyszedł do niej tak późno? Żeby sprawić jej przykrość? To był znowu ten sam Rafael Vargas, którego poznała w hotelu.

— Dlaczego ich nie zachowasz?

— Nie przydadzą mi się na nic, skoro odmówiłaś mi dalszego pozowania.

Patrzył na nią poważnie. Christine ponownie mogła dojrzeć w jego oczach gniew i ironię.

— Tak — rzekł w końcu. — To by chyba było na tyle. Dobranoc, Christine.

Powoli przeszedł obok niej. Przy drzwiach zamartwił chwilę, potem wyprostował się i szybkim krokiem opuścił dom. Zahuczał motor i zapiszczały opony. Kilka sekund później było znowu cicho.

Christine stała z opuszczonymi ramionami. Rysunki leżały rozsypane przed nią na podłodze.

Chciała płakać, ale łzy nie przychodziły.

Ostatnimi siłami powlokła się do sypialni i runęła na łóżko.

W następnych dniach Christine zagrzebała się w pracy.

Carlos zauważył jej zmienione zachowanie, ale nic nie powiedział. Był jak zawsze uprzejmy i miły.

Susan czuła się z dnia na dzień lepiej. Christine chodziła do niej każdego wieczora i robiła jej coś do jedzenia. Ale i Susan nie mogła rozchmurzyć Christine.

W poniedziałek rano Christine zadzwoniła do Carlosa do banku.

— Si, querissima, co się stało? — Jego głos brzmiał przyjaźnie.

— Zastanawiam się, Carlos — powiedziała. — Chętnie wyjechałabym na parę dni. Czy zgodzisz się?

— Ależ sam ci to proponowałem! To najlepsze, co możesz zrobić. Powiedz, czy na pewno czujesz się dobrze? Wydajesz mi się jakoś zmieniona.

— Nie... nie, Carlos, wszystko jest w porządku, na pewno. Ale nie zaszkodziłby mi krótki urlop.

— Czy chcesz pojechać do Nazis de Diablo? -

— Tak, jeśli jeszcze dostanę bilety.

— To nie problem. Znasz przecież biuro podróży obok banku. Jego właściciele są kuzynami mojej matki. Oni zarezerwują ci miejsce w jednym z popołudniowych pociągów.

— Dziękuję, Carlos.

— I pamiętaj o tym, aquerida: Cokolwiek się zdarzy, jestem twoim przyjacielem.

Dziwnie poruszona jego ostatnim zdaniem, Christine położyła słuchawkę. Zapakowała swoją szarą walizeczkę, a potem poszła pożegnać się z Susan.

Przyjaciółka była zaskoczona nieoczekiwaną decyzją Christine, ale później cieszyła się razem z nią.

— Postępujesz właściwie. Kiedy wrócisz, ja będę już na pewno całkiem okay.

Susan pomachała ręką z okna, gdy Christine wsiadała do taksówki, która miała zawieźć ją do miasta.

Biuro podróży znajdowało się w trójkątnym domu obok banku. Christine pchnęła szklane drzwi i weszła do przyjemnego, chłodnego holu. Usiadła na przetartym, obitym skórą krześle, czekając, aż urzędnik obsłuży mężczyznę i kobietę, stojących przy okienku.

Nagle Christine wzdrygnęła się i podniosła głowę. Czyżby padło nazwisko Rafaela Vargasa?

— Proszę bardzo, Senior Vargas — usłyszała — Rio De Janeiro i Paryż. Czy jest pan zadowolony? Christine waliło serce.

— Pana usługi jak zwykle są bez zarzutu, Jorge — odparł Rafael, biorąc dwa bilety lotnicze. — Proszę powiedzieć mojemu kochanemu kuzynowi Romulo, że Seniorita Viramonte i ja umiemy docenić jego uprzejmość. Było bardzo mało czasu na rezerwację.

Pracownik ucieszył się z pochwały.

— Dla pańskiej rodziny robimy wszystko, co w naszej mocy.

Christine rozejrzała się nerwowo. Gdzie mogłaby się schować? Jednak w tym momencie Ewa odwróciła się i zauważyła Christine. Uśmiech zamarł na jej twarzy.

— Rafael — głos Ewy był zimny jak lód — są ludzie, którzy najwidoczniej prześladują cię wszędzie. Nawet tutaj.

Zdziwiony obrócił się i podążył za spojrzeniem Ewy. Christine podniosła się ze swojego krzesła. Zaciśnęła palce na uchwycie walizki.

— Ach, Christine — powiedział Rafael. Jego oczy były pozbawione jakiegokolwiek wyrazu. — Nie spodziewałem się, że tak szybko cię spotkam.

— Ja... wyjeżdżam na parę dni — zezłościła się na siebie w duchu; zabrzmiało to tak, jakby usprawiedliwiała się przed nim. — Krótki urlop.

— Pani wygląda, jakby rzeczywiście potrzebowała odpoczynku — wtrąciła złośliwie Ewa. — Może nie służy pani tutejsze, górskie powietrze.

W międzyczasie Christine poczuła, że znowu może się bronić.

— Przywykłam już do tego. Miałam dość dużo pracy. To była propozycja Carlosa, abym wyjechała na parę dni.

— Carlos wziął sobie bardzo do serca Christine. Wiedziałaś o tym właściwie, Rafael? — Ewa przytuliła się do jego pleców. — Może już niedługo będzie wesele — ciągnęła nad wyraz słodkim głosem. — Czy cieszyłbyś się, gdyby Christine została twoją szwagierką?

Rafael nic nie odpowiedział. Wsunął bilety do kieszeni kurtki i chwycił za ramię Ewę.

— Musimy już iść — powiedział krótko i poprowadził ją do drzwi.

— Ach tak — odezwała się piskliwie. — Mamy jeszcze dużo do załatwienia przed naszym odlotem.

Rafael przytrzymał drzwi swojej towarzyszce, która wyszła dumnie. Podał Christine rękę.

— Trzymaj się dobrze — rzekł.

Poczuła cierpki zapach drogiej wody kolońskiej. Jak zahipnotyzowana uściśnęła jego dłoń. Stali tak przez chwilę, aż uśmiech Rafaela znikł i jego twarz nabrała ponownie nijakiego wyrazu. Obrócił się i poszedł za Ewą.

Podszedł do niej pracownik i spytał, czego sobie życzy. Ponieważ widział, że Christine, jest znajomą rodziny Toralów, została potraktowana szczególnie uprzejmie. Wkrótce miała wszystko czego potrzebowała: bilety, zarezerwowane miejsce w niezbyt drogim hotelu w Guayaguil oraz listę restauracji.

Dopiero po wyjściu dotarło do Christine, że Rafael miał w ręku dwa bilety. Wiedziała o jego locie do Paryża, ale nie wspomniał ani słowem, że Ewa będzie mu towarzyszyć.

„Nie powinnam się tym zajmować” — powiedziała sama do siebie. Mimo to serce ciążyło jej jak kamień na myśl, że Rafael wybiera się tam z tą kobietą. Ale Ewa nigdy nie miała wątpliwości, iż Rafael należy do niej.

Gdy Christine dotarła do dworca, pociąg do Guayaguil stał już na peronie. To był normalny pociąg

osobowy, siedziało w nim wielu Indian. Między nimi stały klatki z kurami i królikami, był tam nawet pies i prosiak.

Christine wyszukała dla siebie wolne miejsce i położyła walizkę na półce. Cieszyła się, mogąc usiąść przy oknie.

Obserwowała kilka zakonnic, starających się utrzymać w jako takim porządku grupę dzieci.

Ktoś przeszedł wzdłuż korytarza i zatrzymał się obok. Gdy podniosła wzrok, zaparło jej dech w piersiach. — Przed nią stał Rafael Vargas, patrząc na nią z niewiarygodnym zdziwieniem.

— No, to jest dopiero niespodzianka — stwierdził. — Domyślam się, dokąd się wybierasz. Nazis de Diablo. Ale nie wyglądasz na zrelaksowaną.

— Rafael — Christine wróciła w końcu mowa — co ty tutaj robisz?

Obejrzała się, czy gdzieś nie ma Ewy.

— Ja? Jadę do naszej posiadłości, pożegnać się z matką. — Nie pytając, czy Christine się zgadza, usiadł obok niej i także ulokował swój bagaż na półce, — Ona chce mnie jeszcze raz zobaczyć, zanim opuszczę Ekwador.

Pociąg ruszył. Christine była z tego zadowolona; nie musiała zajmować się Rafaelem, mogła wyglądać przez okno.

Powoli znikały domy Quito. Pociąg opuszczał przeziąknętą słońcem nizinę. Stopniowo robiło się coraz bardziej stromo. Jechali pod górę, do Paramo, u stóp mierzącego prawie trzy tysiące metrów wulkanu Cotopaxi.

Sceneria zmieniała się ciągle. Strome zbocza wyglądały tak, jakby jakiś malarz próbował wszystkich rodzajów zieleni ze swojej palety. Między polami stały domy rolników. Wysoko w górze rozciągał się żółto-brązowy pas łąki.

Potem przejeżdżali obok małego jeziora, którego powierzchnia błyszczała w słońcu. Na jego brzegu rosły wspaniałe, kolorowe hiacynty wodne. W tle wznosiły się majestatycznie góry.

Christine chłoneła zafascynowana ten krajobraz. Zapomniała całkowicie o Rafaelu. Nawet siedzący w pociągu Indianie patrzyli w milczeniu na niesamowite pejzaże.

Godzina mijała po godzinie, a pociąg wspinał się pod górę. Przejechali przez most nad wąską skalistą przepaścią.

Wokół przemykały śmieszne wsie z domami, których dachy pokryte były słomą. Od czasu do czasu dawało się zobaczyć stada owiec, wyglądających na łąkach jak chmurki z waty. Czerwone ponchos pasterzy kontrastowały z nimi.

Christine zachwycała się tym bajkowym widokiem.

— Mój stary pasterz pochodzi właśnie z tej okolicy — powiedział do niej Rafael. — Prowadził swoje stada aż do jeziora, które przedtem mijaliśmy. Byłem kiedyś nad tym jeziorem z namiotem. Gdy on ciągnął w góry, szedłem razem z nim. Trzy dni byliśmy w drodze. W tym czasie zaprzyjaźniliśmy się. Odwiedzałem go każdego lata. Od niego nauczyłem się Quechua. Wiele opowiedział mi o życiu Indian i ich przeszłości.

— Czy żyje jeszcze? — spytała Christine.

Oczy Rafaela posmutniały.

— Umarł, kiedy studiowałem w Paryżu.

Christine spojrzała ponownie za okno. Nagle przeszedł ją dreszcz; zobaczyła śmieszna, małą, brudną chatkę, przed którą siedziała przy ognisku indiańska rodzina. Zdała sobie sprawę, jak bardzo biedni są niektórzy z Indian.

Ściemniało się już w dolinach, gdy pociąg dotarł w końcu do Paramo. Tutejszy krajobraz był goły i zimny. I kiedy jechali dalej, otaczały ich chmury.

— Osiągniemy wysokość około trzech tysięcy sześćset metrów. Potem idzie się z górki — odezwał się Rafael.

Christine spojrzała ze strachem w górę, gdy zza chmur wyłonił się niesamowity, wielki cień i szybował przez chwilę nad ich głowami.

— Co to było, Rafael? — krzyknęła przestraszona.

— Kondor. Król gór.

Ten olbrzymi ptak musiał oznaczać złą wróżbę, ponieważ wkrótce potem pociąg zahamował gwałtownie. Christine wyrzuciło do przodu, tak, że uderzyła głową o oparcie siedzenia.

Przez chwilę była jak oszołomiona.

Gdy mogła już myśleć jasno, zauważyła, że pociąg stanął; Pasażerowie krzyczeli, jęczeli i płakali jeden przez drugiego.

Pierwsza myśl dotyczyła Rafaela. Co jest z nim? Zanim mogła się podnieść, zobaczyła go. Wyciągnął rękę, aby jej pomóc.

— Czy wszystko w porządku, Christine? — pytał zatroskany.

— Myślę, że dobrze — odpowiedziała drżąc. — Co się stało?

— Pociąg się wykoleił. To zdarza się coraz częściej, szyny są stare.

— Rafael, na pewno są ranni. Musimy im pomóc.

— Już, ale najpierw zatroszczę się o ciebie. Pozwól mi zobaczyć. — Delikatnie obmacał jej czoło. — Będziesz tu miała ładnego guza.

— Naprawdę, czuję się dobrze. Co prawda boli mnie trochę głowa, ale można to wytrzymać.

Przez następną godzinę zajęci byli opatrywaniem zranionych podróżnych. Christine pomagała kobietom i dzieciom. Większość z nich nie odniosła, na szczęście, większych obrażeń, ale wiele było w szoku. Trzeba było je uspokoić.

Kilku pasażerów zostało poważnie zranionych. Christine i Rafael rozumieli się bez zbędnych słów. Przemywali rany i przewiązywali je z konieczności jakimiś skrawkami materiału.

Mała indiańska dziewczynka miała ranę ciętą pod okiem. Christine oczyściła brzegi rozcięcia i przyłożyła plaster, który wyciągnęła ze swojego małego podełka z opatrunkiem. Matka dała córeczce na uspokojenie liść koki.

Christine kołysała czule w ramionach małą dziewczynkę, która obserwowała swymi dużymi, ciemnymi oczyma jasnowłosą nieznajomą. W pewnej chwili poczuła na sobie wzrok Rafaela i kiedy spojrzała na niego, wyczytała w jego oczach tklivość i szacunek. Zmieszana oddała dziecko matce i zajęła się następnym.

W końcu wszyscy byli już opatrzeni.

Rafael wysiadł z pociągu, żeby dowiedzieć się, co działo się na zewnątrz. Wrócił po dłuższej chwili.

— Rozmawiałem z kierownikiem pociągu. Wysłał konduktora po pomoc. Tory są stare i słabe, a ściana skały przebiega tu dość stromo, tak, że tylko doświadczeni fachowcy mogą sobie z tym poradzić. Nic innego nie możemy zrobić, niż czekać.

— Ale gdzie ten mężczyzna ma znaleźć pomoc? Jesteśmy na zupełnym pustkowiu!

— Paramo nie jest takim odludziem, jakby się wydawało. Są wioski oddalone od niej tylko o pięć mil, a miasto Latacunga leży osiem mil dalej. Tam jest na pewno jakaś stacja kolejowa.

— Jak myślisz, ile będziemy tu tkwić?

— Kilka godzin. Powinniśmy przygotować się na zimną noc. Pokazałbym ci chętnie ładny widok; łańcuch wulkanów tworzy nieprawdopodobny krajobraz. Ale to na pewno nie jest twoja ostatnia podróż z Quito do Guayaquil... przynajmniej mam taką nadzieję.

— Z pewnością nie — stwierdziła Christine. — Dwa najbardziej dla mnie ciekawe dni w tym kraju to ten w Otovali i dzisiejszy...

Spostrzegła dwuznaczność swoich słów i dodała szybko:

— Mogłam przyjrzeć się ludziom i pięknym krajobrazom.

Rafael spochmurniał.

— Mój brat nigdy nie był na targu w Otovalo — rzekł. Był w Latacunga albo Riobamba... Może jeszcze w jakimś większym mieście.

— Jeszcze nigdy? — dziwiła się Christine. — Autem też nie?

— Przejazdem, tak. Ale nigdy tu się nie zatrzymał. Nie interesuje się przyrodą i historią swego kraju. Jeśli musi podróżować, leci samolotem, nawet z Guayaquil do Quito.

— Nie wolno ci go sądzić. Musisz go akceptować takim, jakim jest. On też tak robi.

— To nie ma nic wspólnego z tolerancją — zaciął na chwilę usta. — Naturalnie, kocham mego brata i szanuję go. Mimo to nie mogę być zadowolony z jego stanu posiadania, zwłaszcza kiedy muszę za to płacić...

— Nie rozumiem — wymamrotała Christine, trochę zmieszana.

— Ach, niepotrzebnie w ogóle to powiedziałem, Christine. Nie można już nic zmienić. Zostawmy ten temat. Musimy myśleć o chwili obecnej. Zaraz zajdzie słońce i zrobi się zimno.

Wielu pasażerów opuściło już pociąg. Poszli w ich ślady, Rafael pomógł Christine przy wysiadaniu. Lodowaty wiatr hulał po skąpo porośniętym krzewami płaskowyżu.

Drżąc z zimna Christine podniosła kołnierz płaszcza.

Idąc wzdłuż torów, po paru minutach dotarli do równej powierzchni. Rozpalono tam kilka ognisk, przy których siedzieli ciasno skupieni przy sobie Indianie, otuleni w szerokie ponchos.

Rafael rozmawiał z jakąś Indianką, która samotnie przykucnęła przy ognisku. Kilka chwil później on i Christie zostali zaproszeni na jej wełniany koc.

Christine wyjęła z torby chleb i ser. Kobieta otuliła się peleryną i pokazała kilka małych kartofli, które piekła w ognisku.

Zjedli ten skromny posiłek z dużym apetytem.

Słońce zniknęło za horyzontem. Zapadła ciemność.

Kilku Indian proponowało im chicha. Christine opierała się z początku, ale Rafael zapewniał że trunk na pewno jej nie zaszkodzi. Wypiła łyk. Poczowała nieprzyjemny, ostry smak, do którego jej podniebienie nie było przyzwyczajone. Ale zrobiło jej się po tym cudownie ciepło.

— Co bym zrobiła, gdyby ciebie tu nie było, Rafaelu — powiedziała. Siedziałabym pewnie w pociągu, głodna i zziębnięta. Nigdy bym nie pomyślała, żeby wysiąść.

Rafael zaśmiał się i przysunął się do niej trochę bliżej.

— Za kilka godzin w pociągu będzie strasznie zimno. Tutaj, na dworze, pomagają nam przyroda.

Zamienił kilka słów z kobietą w jej języku i zwrócił się ponownie do Christine.

— Nasza przyjaciółka zapewniła mnie, że nie pozwoliłaby głodować i marznąć pięknej extranjera. Ona jest urzeczona twoimi włosami. Pyta się, jak można otrzymać tak ładny kolor.

Christine uśmiechnęła się do kobiety.

— Powiedz jej, że jako dziecko zawsze chciałam mieć ciemne i grube włosy, żeby móc pleść sobie warkocze. Moje były niestety zbyt cienkie.

— Mimo wszystko są przepiękne. Wiele kobiet sprzedawały duszę za takie włosy.

To było nieopisane uczucie, widzieć wszędzie ogień, którego niespokojne pełganie wyczarowywało dziwaczne cienie na twarzach siedzących Indian. Wokół rozciągała się bezwzględna ciemność.

Kilku mężczyzn zaczęło śpiewać. Christine nie rozumiała słów, ale melancholijna melodia chwytła ją za serce.

Wyobrażała sobie przodków tych Indian, z czasów prastarego królestwa Inków, jak nieśli swego króla w lektyce po zawieszonym nad przyprawiającą o zawrót głowy przepaścią moście, śpiewając swe dostojne pieśni.

Powoli Christine robiła się zmęczona. Przeżycia dnia i wypity alkohol zaczynały działać. Oczy kleiły się jej coraz bardziej.

Rafaël otulił ją swoim płaszczem.

— Jesteś zmęczona, *querissima*? — zapytał czule.
— Musisz się trochę przespać. Obudzę cię, gdy będziemy mogli jechać dalej.

Christine skinęła głową i oparła się o niego. Czuła się cudownie bezpieczna.

Chwilę potem już spała. Przerazona obudziła się dopiero wtedy, gdy doszły ją głośnie głosy i wołania w ciemności. Pomoc kolejowa dotarła na miejsce.

Minęła już północ. Rafaël objął Christine ramieniem. Razem z innymi podróżnymi przypatrywali się mężczyznom, którzy próbowali swoimi prymitywnymi narzędziami zreperować tor i z powrotem postawić pociąg na szyny.

Wreszcie skończyli; można było jechać dalej.

Ledwie Christine zajęła miejsce w pociągu, a już

zamknęły się jej oczy. Jednak tym razem uniknęła oparcia się o ramię Rafaela, tylko wcisnęła się w kąć przy oknie.

W półśnie zauważyła, jak ktoś nachyla się w jej stronę. Rafael również zasypiał z głową na jej ramieniu. Christine uśmiechnęła się nieświadomie.

Pociąg jechał nocą przez Ambato i Riobambo. Nikt nic nie widział z uroku tych miast.

Kiedy Christine poczuła twarz Rafaela obok swojej, zamarzyła, żeby ta podróż trwała wiecznie.

Dniało już. Przez wąskie, niebezpiecznie wyglądające zakręty pociąg zjeżdżał znowu do doliny. Christine zauważyła, że roślinność przybierała tropikalny charakter.

W milczeniu spoglądali oboje przez okno. Czuli się połączeni ze sobą wspólną miłością do tego pejzażu.

W tych minutach Christine poczuła, że zrodziło się w niej coś wielkiego. Kochała tego mężczyznę. Kochała Rafaela Vargasa. Wiedziała, że bez niego nigdy nie będzie szczęśliwa.

Musiała się jednak pogodzić z tym, że mogła o nim tylko marzyć. Rafael należał do Ewy i już następnej nocy miał lecieć z nią do Rio, a potem do Paryża.

A ona? Będzie każdego dnia jeździła do banku i będzie wiedzieć, że jej życie pozostanie na zawsze samotne i smutne.

Dlaczego spotkał ją taki los? Dlaczego zakochała się w mężczyźnie, który był dla niej nieosiągalny?

Czy nie byłoby lepiej, gdyby pokochała Carlosa? Przy jego boku mogłaby prowadzić spokojne, szczęśliwe życie, bez wzlotów i upadków.

Ale co mógł poradzić głos rozsądku przeciw sercu?
Jej serce wybrało Rafaela.

9

Powierzchnia wody zatoki Guayaquil mieniła się w porannym słońcu, jednak Christine nie patrzyła na nią. Czuła się pusta i wypalona. Rafael był również milczący i zamknięty w sobie.

Na peronie pożegnali się i wymienili krótkie, zdawkowe grzeczności.

Christine wiedziała, że Rafael chciał jechać taksówką do plantacji, oddalonej o godzinę drogi.

Ona sama chciała obejrzeć miasto. Na noc miała zarezerwowany przez biuro podróży pokój w jednym z hoteli. A jutro wracała już do Quito.

Wzięła bagaż i szła powoli wzdłuż peronu. Coś kazało się jej odwrócić. Rafael stał wciąż na tym samym miejscu i patrzył za nią.

Sprawił wrażenie, jakby chciał ją zawołać, a ona zapragnęła nagle postawić na ziemię walizkę i biec do Rafaela, żeby rzucić mu się na szyję. Oparła się jednak tej pokusie i opuściła dworzec najszybciej, jak tylko mogła.

Hotel był skromny, ale przytulny. Christine postanowiła natychmiast wziąć prysznic i odpocząć godzinę. Chciała choć trochę nadrobić stracony poprzedniej nocy sen.

Otworzyła walizkę, chcąc wyjąć piżamę, i aż podskoczyła. Leżały w niej wielki szkiecownik, dużo pisa-

ków i męska bielizna! Znów pomylili z Rafaelem bagaże! Od tego zaczęła się ta cała historia, i los z właściwą sobie ironią zadbał, by tak samo się zakończyła.

Christine usiadła zrezygnowana w fotelu.

Co powinna teraz zrobić? Rafael znajdował się w drodze do swojej rodziny — z jej walizką. Była skazana na spędzenie jeszcze jednego dnia i jednej nocy w tym samym ubraniu.

A jeśli Rafael odkryje znowu tę pomyłkę... Nie, nie będzie mógł nic zrobić. Nie powiedziała mu, do którego hotelu jedzie. Będzie na pewno potrzebował swoich szkiców. Nie pozostało jej więc nic innego, jak zawieść mu bagaż.

Nie chciała jednak pokazać się jego matce tak ubrana. Najpierw musiała kupić sobie lekką bluzkę, żeby pozbyć się tego swetra; w tym portowym mieście było znacznie cieplej, niż w mijanych podczas podróży górach.

Musiała także dowiedzieć się, gdzie leży posiadłość Toralów. Chciała wziąć taksówkę. A co, kiedy już dotrze do tej rodowej siedziby? Nie chciała o tym myśleć.

Christine znalazła odpowiednią bluzkę na ulicznym straganie, w pobliżu hotelu. Przebrała się i zeszła na dół do recepcji, aby dowiedzieć się, gdzie mieszkają Toralowie. Portier chwycił natychmiast słuchawkę i po kilku rozmowach mógł podać Christine adres.

Nie zjadła nawet śniadania, choć od wczoraj nie miała nic w ustach. Od razu wynajęła taksówkę.

Jazda stała się kolejnym pasjonującym przeżyciem.

Christine, oparta o siedzenie przyglądała się polom trzciny cukrowej, oraz olbrzymim kakaowcom. Po drugiej stronie ulicy rozciągały się niekończące się pola krzewów palmowych. Na jednym z zakrętów stało prastare, guzowate drzewo, pokryte całe mchem. Przejżdżali obok opuszczonych willi i nowoczesnych szarych domów.

Wreszcie kierowca odbił od ulicy ku wysokiemu, wykutemu z żelaza portalowi. Samochód zatrzymał się przed przepiękną hacjendą w starohiszpańskim stylu.

Christine zapłaciła kierowcy, wzięła walizkę i opuściła taksówkę, która natychmiast zawróciła i odjechała.

Z bijącym sercem stała na brukowanej drodze. Uchyłono drzwi wejściowe. Pokojówka, obrzuciwszy nieznaną podejrzliwym wzrokiem, zniknęła i zamknęła za sobą drzwi.

Christine zastanawiała się co powinna zrobić. Znow otworzyły się drzwi.

Stanęła w nich atrakcyjna, szczupła kobieta. Kiedy Christine po chwili wahania zbliżyła się do niej, kobieta zastanawiała się przez chwilę. Wreszcie jej twarz rozjaśniła się uroczym uśmiechem.

Nie było wątpliwości, Christine rozpoznała Seniorę Toral. Miała ten sam uśmiech co Rafael.

W czarnych włosach Seniora Toral widać było srebrne pasemka. Fryzura podkreślała jej arystokratyczne pochodzenie. Lniana, różowa sukienka bez rękawów była bardzo elegancka. Na ramionach miała cieniutki, koronkowy szal.

— Pani musi być Christine — stwierdziła przy aż-

nie. — Zaraz rozpoznałam panią po jasnych włosach. Mój syn opowiadał mi dużo o pani.

W pierwszej chwili Christine myślała o Rafaelu, kiedy seniora Toral mówiła o swoim synu. Ale potem stało się dla niej jasne, że mógł to być tylko Carlos. Coś ścisnęło ją za gardło.

— Carlos... chciałam powiedzieć, Senior Toral i ja pracujemy razem w banku. To znaczy, jestem jego sekretarką.

— A co sprowadza panią do nas? Mój syn nie powiadomił mnie o pani przybyciu.

— Nie, nie — odparła Christine szybko. — Ja... ja nie wiedziałam, co mam zrobić. Pomyliłam walizkę Rafaela... to znaczy, Seniora Vargasa, z moją. Ponieważ wiem, że on chce jechać do Paryża...

— Wygląda pani na wycieńczoną. Proszę wejść do środka i wypić ze mną filiżankę kawy. — Z godnością królowej otworzyła ciężkie dębowe drzwi i przepuściła Christine przy wejściu.

Weszły do ciemnego holu, którego ściany pokryte były kosztownymi obiciami. Pośrodku dużego pomieszczenia znajdowały się szerokie schody, wiodące na wyższe piętro. I — tak chciał przypadek — na stopniach schodów pojawił się właśnie Rafael. Zatrzymał się i patrzył na Christine w osłupieniu.

Serce waliło jej jak oszalałe, a ona nie ważyła się nawet podnieść oczu. Ich spojrzenia spotkały się w końcu i Christine poczuła, jak przebiegły między nimi elektryczne iskry.

Sekundę później spojrzenie Rafaela stwardniało, a w głosie pojawiło się szyderstwo.

— Myślałem, że pożegnaliśmy się już, Christine. Nawet dwa razy, jeśli się nie mylę. Powoli dochodzę do wniosku, że Ewa miała rację twierdząc, że ciągle za mną latasz.

Christine chciała zapaść się ze wstydu pod ziemię. Spojrzała na matkę Rafaela, szukając u niej pomocy. Jednak Seniora Toral patrzyła tylko na syna całkowicie zdumiona.

— Już powiedziałaś twojej matce... — jąkała się Christine — nasze walizki... Musiały zostać zamienione w pociąg. Ja... ja nie chciałam, żebyś leciał do Paryża bez swojego szkicownika.

— Co? — Oczy Rafaela rozszerzyły się, potem przechylił w tył głowę i zaczął się śmiać na całe gardło. — Znowu wzięłaś moją walizkę? No, to muszę zaraz spojrzeć, jaki kolor ma tym razem twoja koszula nocna.

Christine stała jak oblana zimną wodą, podczas gdy Rafael, wciąż jeszcze się śmiejąc, obrócił się i znikł w swoim pokoju.

Seniora Toral nie wiedziała, co sądzić o tym zajściu. Nic jednak nie powiedziała. Aby naprawić nietaktowne zachowanie swojego syna, postąpiła jednakże szczególnie uprzejmie.

— Proszę zostawić tutaj walizkę, moje dziecko, i pójść za mną. Kawa zaraz zostanie podana.

Zaprowadziła Christine do przyjemnie chłodnego pomieszczenia. Okiennice były zamknięte do połowy. Na małym mahoniowym stoliku stały już gotowe nakrycia.

Weszła służąca z kawą.

— Mój mąż jest służbowo w Argentynie — objaśniła Seniora Toral, nalewając Christine kawę. — Będzie bardzo żałował, że pani nie poznał.

— Mój ojczym nie spotkał na pewno jeszcze nigdy takiej dziewczyny jak ty, Christine — powiedział Rafael od drzwi. — Jak często spotyka się kogoś kto popełnia dwa razy ten sam błąd?

Podszedł bliżej, uśmiechając się szelmowsko.

^s — Przykro mi, ale nie znalazłem żadnej nocnej koszuli. Widzę, że przerzuciłaś się ostatnio na białe piżamy.

Christine nie zrozumiała, dlaczego Rafael prowadził z nią nadal swoją grę. Mimo wszystkiego, co zdarzyło się między nimi, miała uczucie, że nie odpowiadała mu jej wizyta.

— Przywiozłam twoją walizkę, żeby zaoszczędzić ci jazdy do Quito — odpowiedziała zła. — Nie miałeś powodu grzebać w mojej bieliźnie.

— Christine ma rację — wtrąciła z naganą matka Rafaela. — Zapominasz o dobrych manierach, mój synu. — Wskazała fotel obok siebie. — Chodź, usiądź i wypij z nami kawę.

Rafael posłuchał i pozwolił sobie nalać do filiżanki. Seniora Toral zachowywała się z dystynkcją i Christine była jej wdzięczna, że zrećźnie zmieniła temat rozmowy.

Christine została zaproszona na wspólny posiłek. Pani domu wstała i przeprosiła ją na chwilę, aby wydać polecenia w kuchni.

Gdy tylko matka Rafaela opuściła pokój, ten podniósł się gwałtownie z fotela. Christine miała wrażenie.

że było mu nieprzyjemnie przebywać z nią sam na sam. Podszedł do szklanych drzwi, otworzył je i pchnął do przodu drewniane okiennice.

Do pomieszczenia wleciało parne, wilgotne powietrze.

Rafael wyszedł na werandę. Christine poszła za nim.

Po wydarzeniach ostatniej nocy uważała, że winien jest jej wyjaśnienie swojego zachowania.

Rafael oparł się o balustradę tarasu i patrzył ponad otoczonym palmami trawnikiem na niebieskie, szumiące morze.

Przytłoczona bajecznym widokiem Christine zapomniała całkiem, że chciała Rafaela o coś zapytać.

— Jak pięknie! — krzyknęła z zapartym tchem.

— Nie wiedziałam, że ta plantacja leży tak blisko wybrzeża.

— Dalej, niż się wydaje. Około czterech mil. Ponieważ ląd opada stromo do morza, wygląda tak, jakby woda zaczynała się tuż za drzewami bananowymi.

— Jak możesz opuszczać ten kraj i jechać do Europy? Gdybym była na twoim miejscu, nie chciałabym żyć nigdzie indziej.

Jego twarz przybrała surowy wyraz.

— Czasami musimy opuścić coś, co jest nam drogie.

— Ale przecież nie potrzebujesz wyjeżdżać z Ekwadoru. Zrobiłeś już karierę. Możesz sobie pozwolić na to, żeby zostać w ojczyźnie.

— Moja kariera nie stanowi jedyne powodu tego wyjazdu. Christine. Naturalnie, Paryż, Nowy Jork i Rzym są bardzo ważne dla malarza. Muszę być tam co roku przez pewien czas. Gdybym kierował się

swoimi pragnieniami, to mógłbym większą część roku spędzać tutaj... Miałem nadzieję, że tym razem mi się to uda, ale niestety...

Odwrócił się.

Christine wyczuwała, że było coś, o czym nie chciał mówić. Patrzyła przez chwilę na morze i ogród, aż w końcu przypominała sobie o własnych problemach.

— Rafael, dlaczego złościś się tak bardzo, że tu jestem? Carlos nie potraktowałby mnie tak, gdybym to jemu przyniosła walizkę.

Rozejrzał się dookoła, jego ciemne oczy pałały wściekłością.

Palcami chwycił za jej ramię.

— Carlos! Zawsze on! — krzyknął porywczo.

— Rafael, to boli!

— Czy myślisz, że mi nikt nie sprawia bólu? — zapytał.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi?

Westchnął tylko, po czym puścił jej ramię.

— Jak mam ci wierzyć!

Zacisnął usta. Po chwili opanował się.

— Christine — zaczął cicho — niedobrze się stało, że przyszedłaś tu. Chciałbym, abyś zaraz po jedzeniu opuściła hacjendę.

Nie była zaskoczona jego prośbą. Próbowana go zrozumieć, ale nie potrafiła. Teraz czuła się w środku całkiem pusta i nie miała już siły próbować po raz kolejny.

Przytaknęła jednak smutno.

— Jeśli sobie tego życzysz...

— Tak — powiedział. — Życzę sobie.

Potem zostawił ją samą i wrócił do pokoju.

Jedzenie podano w patio. Chociaż pachniało ono wspaniale, Christine nie mogła wziąć ani kęsa do ust. Była całkowicie zdezorientowana dziwnym zachowaniem Rafaela. Nie mogła już się doczekać, kiedy wreszcie opuści ten dom.

Gdy sprzątnięto ze stołu, Christine wstała, by się pożegnać. Pani domu prosiła ją, aby została jeszcze trochę, jednak Christine odmówiła.

Seniora Toral nie nalegała. Spodziewała się, że Rafael zaproponuje Christine odwiezienie jej do hotelu, ale on nie miał takiego zamiaru. Spojrzała dziwnie na syna i wydała polecenie służącemu.

Rafael wymienił walizki, unikając przy tym spojrzenia Christine. Miała wrażenie, że Rafael męczy się tak samo jak ona. Podziękowała za gościnność. Ku jej miłemu zaskoczeniu starsza pani objęła ją serdecznie i pocałowała w oba policzki.

— Czy odwiedzi nas pani znowu, kochana Christine? — zapytała uprzejmie.

— Ja... nie wiem — Christine spojrzała na Rafaela.
— Może... -

Seniora Toral odwróciła się do swojego syna, ten jednak nie reagował.

— Wiem, że jeszcze panią zobaczę — powiedziała Seniora Toral z naciskiem.

Pojawił się służący i zakomunikował, że samochód jest gotowy do odjazdu. Christine wsiadła do srebrnoszarego mercedesa i pomachała przez okno. Ale tylko Seniora Toral odpowiedziała tak samo. Rafael odwrócił się i poszedł sztywnym krokiem do domu.

„To jest właśnie artysta” — pomyślała zrezygnowana Christine, kiedy szukała przyczyn zachowania Rafaela. Dlatego zachowuje się tak różnie: raz jest serdeczny i przyjazny — a już w następnej minucie nieprzystępny, zimny i władczy.

Sam przecież powiedział jej, że przyjęte normy nie są dla niego ważne, że nie zamierza się żenić i ani żyć tak, jak inni uważają za normalne. Wolał mieć wiele kobiet...

Chciała za wszelką cenę zapomnieć o nim raz na zawsze. Przybyła przecież do Ekwadoru, żeby pracować i znaleźć tu wreszcie spokój.

A jeśli usłyszy kiedykolwiek coś o słynnym artyście Rafaelu Vargasie, to, miejmy nadzieję, że nie skojarzy tego nazwiska ze śniadym mężczyzną o pełnych wyrazu, ciemnych oczach i magicznej sile przyciągania, lecz z aroganckim i chimerycznym przystojniaczkiem, który niemal wyrzucił ją ze swego domu.

Kiedy ponownie znalazła się w Guayaquil, nie miała już ochoty na zwiedzanie tego miasta. Sam pobyt tu uważała za ćwiczenie silnej woli.

Różnicę wobec Quito zauważyła od razu. Tam życie wydawało się wolniejsze. W Guayaquil panował ogromny ruch.

Powoli, bez większego zainteresowania szła wzdłuż ulicy Avenida 9 de Octubre aż do Simon-Bolívar—Malecón, gdzie stała rotunda, najstarszy zabytek miasta. Naprzeciwko niej znajdowały się liczne ogrody Pasco de Las Colones.

Zmęczona i bez humoru usiadła w końcu na ławce. „Co właściwie mnie tu trzyma?” — przyszło jej nagle

do głowy. Dlaczego włączy się tutaj, jeśli już wszystkimi myślami wróciła do Quito. Najlepszym środkiem na uśmierzenie bólu serca była przecież intensywna praca.

„Przyjadę do Guayaquil innym razem”, postanowiła wreszcie.

Ale tak naprawdę — zachodziła wciąż w głowę — jakie właściwie powody mógł mieć Rafael, żeby tak się zachować? Miał przecież wszystko: sławę, szczęście, zdrowie, wiodło mu się fantastycznie...

Dlaczego chował się za maską sarkazmu? Czy bał się czegoś? Nie, Rafael Vargas nie był taki...

Christine wróciła do hotelu. Portierowi wyjaśniła, że nie chce zostać na noc i dowiedziała się o połączenie lotnicze do Quito. Miała szczęście. Za niecałą godzinę odlatywał następny samolot. Szybko wyrównała rachunek hotelowy. Na lotnisko pojechała taksówką.

Chwilę potem mogła jeszcze raz spojrzeć na krajobraz, który w drodze do Guayaquil wywarł na niej tak ogromne wrażenie.

Po wylądowaniu w Quito zauważyła w hali odlotów wśród czekających pasażerów Ewę Viramonte. Miała na sobie rzucający się w oczy kostium złotego koloru.

Ukryta za filarem, Christine obserwowała tę kobietę z jej urodą i elegancją na pewno odniesie w Paryżu sukces. Ale jakie miało to znaczenie dla Rafaela? Ewa myślała tylko o sobie.

Christine spojrzała na zegarek i stwierdziła, że bank zamykano dopiero za dwie godziny. Dlaczego nie miałyby tam jeszcze pójść? W domu będzie tylko siedzieć i marzyć...

Kasjerzy ukłonili się jej uprzejmie. Nikt nie był zaskoczony jej nieoczekiwanym pojawieniem się. Weszła krętymi schodami na górę i ku swojemu zdziwieniu zobaczyła w biurze Susan.

Susan rozmawiała właśnie przez telefon, a przed nią leżało duże pudełko z chusteczkami higienicznymi. Obie dziewczyny uśmiechnęły się do siebie i Susan dała Christine znak ręką, że z pracy pojedą do domu razem.

Christine poszła do biura Carlosa. Zastała go siedzącego za biurkiem. Spojrzał na nią zaskoczony.

Kiedy zobaczył jej bladą twarz, podskoczył i wskazał ręką fotel.

Christine usiadła zmęczona na jednym z nich. Carlos polecił urzędnikowi przynieść kawę.

Ponieważ chciała mu powiedzieć coś bardzo ważnego, poprosiła by zamknął drzwi. Było dla niej jasne, odkąd odkryła swoją miłość do Rafaela, że musi z Carlosem grać w otwarte karty.

Carlos usiadł przy niej, ujął jej dłoń i trzymał mocno. Potem uśmiechnął się do niej zachęcająco.

— Nie martw się. Zrozumiałem już dobrze co się z tobą dzieje. Wiem to od tamtego wieczoru w pracowni Rafaela. Kochasz go tak bardzo, że aż mi cię szkoda.

To już było ponad siły Christine. Wybuchnęła niepohamowanym szlochem. Przez dłuższy czas nie mogła powiedzieć ani słowa.

— Och, Carlos — wyrzuciła w końcu z siebie — żebym nigdy nie spotkała Rafaela! Tak, kocham go, jak tylko kobieta może kochać mężczyznę. Ale on nie odwzajemnia moich uczuć. Kiedy pojechałam do

hacjendy, odesłał mnie z powrotem. A teraz jest z Ewą w drodze do Paryża.

Carlos siedział bez ruchu i wyglądał jakby zastanawiał się nad czymś. Na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Nagle wyprostował się i powiedział ojcowskim, pełnym miłości tonem:

— Idź i obmyj sobie twarz, Christine. Potem pójdziesz z Susan do domu. Obstawała przy tym, aby przyjść dzisiaj do pracy, ale nie jest jeszcze zdrowa. Mam więc powody, żeby zwolnić ją wcześniej. Uspokój się. Przyjdę dziś wieczorem do ciebie i wtedy porozmawiamy. Muszę jeszcze załatwić coś ważnego.

Christine przyjęła tę propozycję z wdzięcznością. Wkrótce potem były już z Susan w drodze do domu. Susan starała się uporczywie wypytać Christine, ale nie odniosła żadnego sukcesu.

— Nie musisz — stwierdziła w końcu nie zniechęcona. — I tak wszystko z ciebie wyciągnę, gdy tylko wrócę do zdrowia. Ale to śmieszne, pojechałaś wypocząć, i co? Wróciłaś całkowicie załatwiona.

Christine uśmiechnęła się kwaśno.

— Susan, jestem po prostu zmęczona tą podróżą. Pociąg się wykoleił, musiałam czekać kilka godzin, nie spałam w nocy...

— Wypadek? Jakie to dramatyczne! Dlaczego mnie nigdy nie przydarzy się nic takiego? — Susan dotarła już do domu Christine. Zatrzymała samochód.

— Susan, nie chcę być teraz sama. Nie miałybyś ochoty zjeść ze mną kolacji? Mam jeszcze pieczonego kurczaka...

— Jesteś zabawna. Ale dobrze, mój zapas konserw może poczekać do jutra.

Obie dziewczyny weszły do domu. Christine podała Susan w pokoju chusteczki i jakiś żurnal, a sama poszła do kuchni przygotować coś do jedzenia.

Potem siedziały już obie przed kominkiem, jadły z apetytem i rozmawiały o pracy. Christine udało się odciągnąć przyjaciółkę od przykrego tematu.

Susan rozplotkowała się jak zwykle. Opowiadała o jednej z koleżanek z banku, która chciała odzwyczaić się od palenia, używając niesamowite ilości gumy do żucia. Naśladowała ją przy tym tak śmiesznie, że Christine również śmiał się głośno.

Zadzwonił Carlos.

— Christine — powiedział, jak się jej wydawało, bardzo zdenerwowany. — Chciałbym, abyś pożyczyla od Susan samochód i przyjechała do mnie. Nie, żadnych pytań, proszę — bronił się, chociaż Christine wcale nie próbowała mu przerywać. — Zaufaj mi i zrób dokładnie to, co ci powiem. Przyjedź do mojego domu. Służący cię wpuści. Poczeka tam, gdzie on cię zaprowadzi. Ja zaraz przyjadę. Czy to jasne?

'— Tak, Carlos. Ale...

— Powiedziałem przecież, żadnych pytań, Christine. Proszę, zrób to dla mnie.

— Naturalnie, Carlos. Zrobię wszystko, o co mnie poprosisz.

Całkowicie zmieszana telefonem Carlosa odłożyła słuchawkę.

— Carlos chce ze mną rozmawiać — powiedziała do Susan. — Pożyczysz mi samochód?

— Jeśli mi obiecasz, że nie uciekniesz nim z Carlosem, tak. Potrzebuję tego grata, żeby jutro rano móc pojechać do pracy.

Christine spojrzała zamyślona przed siebie.

— Chciałabym tylko wiedzieć, co to ma znaczyć. Carlos wydał mi się okropnie tajemniczy.

— Dramat zbliża się ku końcowi! — krzyknęła Susan z emfazą. — Ale w zamian za samochód zastrzegam sobie jedno: jutro musisz mi w końcu wszystko opowiedzieć.

— Opowiem ci na pewno... Jeśli tylko będzie co opowiadać — obiecała Christine.

10

Christine zamknęła drzwi i odwiozła Susan do domu. Potem pojechała do miasta.

Carlos zachowywał się dziwnie. To nie było w jego stylu.

Czy wiązało się to z ich rozmową w biurze? Zapewniał ją, że nie czuje się zraniony dlatego, że ona kocha Rafaela. Możliwe jednak, że dotknęło go to mocniej, niż przyznawał.

Mogła mieć tylko nadzieję, że nie wymyślił niczego, czym mógłby zemścić się za swą porażkę.

Wszystkie te zwariowane myśli przelatywały Christine przez głowę, kiedy tak jechała ciemnymi ulicami. Wreszcie dotarła do domu Toralów i zaparkowała na poboczu.

Tak jak Carlos powiedział, wpuścił ją służący. Ku jej

zdziwieniu nie wskazał drogi do salonu, lecz otworzył drzwi po drugiej stronie holu i zapalił światło, po czym uprzejmie zaprosił ją do środka.

To była pracownia Rafaela!

Christine dziwiła się co prawda, ale Carlos miał jej przecież wkrótce wszystko wyjaśnić.

Rozejrzawszy się stwierdziła, że pomieszczenie wygląda o wiele ciekawiej niż ostatnim razem. Na środku podłogi leżał dywan z motywami orientalnymi, ale Christine nie mogła nigdzie dojrzeć farb, ani rozpostartego na sztalugach płótna.

Jedyne co przypominało, że pracował tu kiedyś Rafael, to obrazy na ścianach i że duże sztalugi, które stały pod oszklonym spadzistym dachem, przykryte jakimś materiałem.

Służący poprosił, aby Christine usiadła, zanim przyjedzie Senior. Potem wycofał się dyskretnie i zamknął za sobą drzwi.

Christine nie miała ochoty siedzieć. Chciała obejrzeć sobie rozwieszone płótna.

Niektóre znała już z wystawy. Jej ulubiony portret starego Indianina znajdował się także między nimi.

Oglądała długo, odkrywając coraz to nowe dowody sztuki Rafaela. Oprócz motywów indiańskich dostrzegła pejzaż, w którym rozpoznała jezioro San Pablo. Inny obraz pokazywał targ w Otovalo.

Nagle zastanowiła się. Czy to było możliwe? Jedno z malowideł pokazywało ją samą, jak klęczała przed straganem, trzymając w ręku gliniane wrzeciono.

Rafael narysował ją więc, zanim jeszcze dowiedziała się, że zatrzymał się w Otovalo.

Ogarnęło ją dziwne uczucie. Gwałtownie odwróciła się od obrazów.

Stopniowo stawała się coraz bardziej niespokojna. Widziała już wszystko, co było w tym pomieszczeniu do zobaczenia. Usiadła na jednym z dwóch krzeseł, żeby poczekać na Carlosa.

Czas mijał i nic się nie zdarzało. Wzrok Christine spoczął w pewnym momencie na zasłoniętych sztalugach. Wzbudziły jej ciekawość.

Podniosła się, podeszła bliżej i uchyliła materiału. Zaskoczona wpatrywała się w rysunek, który tam się znajdował.

Był zrobiony pastelami, najwidoczniej pomyślany jako próba portretu.

Z podziwem patrzyła na to, czego dokonał tu Rafael.

Poznała ten szkic — był ostatnim, jaki Rafael zrobił, kiedy pozowała mu tutaj, w pracowni. Nie oddał jej więc wszystkich. Ten jeden zachował dla siebie.

Musiał pracować nad nim godzinami; był już całkowicie wykończony. Bogactwo delikatnych, pastelowych odcieni dodawało rysom jej twarzy delikatności, a oglądającemu pokazywało prawie niezmierną istotę, uśmiechającą się lekko i rozmarzoną.

Był to portret osoby zakochanej bez pamięci. Widać na nim było całą jej miłość do Rafaela.

Oszołomiona odwróciła głowę, zapominając zakryć ponownie obraz. Czuła się wstrząśnięta odkryciem, że Rafael widział ją w ten sposób.

On wiedział, jak bardzo go kocha, już dużo wcześniej, niż ona sama.

Uczucie do niego, które chciała wszystkimi siłami w sobie zdusić, rozbudziły się ponownie. Myślała, że nie wytrzyma już dłużej tego bólu.

Nagle usłyszała otwierane na zewnątrz drzwi. Z przedpokoju dochodziły ją jakieś głosy. Wreszcie przyszedł Carlos! Wyjaśni jej zaraz to zagadkowe zachowanie.

Kiedy jednak rozpoznała ten głos, krew uderzyła jej do głowy. To nie był głos Carlosa, lecz Rafaela. Rozpoznałaby go wśród milionów innych.

Przez chwilę stała nieruchomo. Nie wiedziała, co zrobić.

Machinalnie podbiegła do sztalug, zakryła obraz drżącymi palcami i podążyła do drzwi, przez które można było wyjść z pracowni bezpośrednio na powietrze. Zamykając za sobą zewnętrzne drzwi kątem oka zauważyła jeszcze szczupłą sylwetkę Rafaela w smudze światła z przedpokoju.

Drżąc ze strachu pobiegła przed siebie. Swoją kurtkę zostawiła w pracowni. Torebkę z kluczami do auta Susan miała na szczęście przy sobie.

Ulica łączyła się z szerokim bulwarem, przy którym znajdowały się sklepy z modną odzieżą — tam właśnie kupiła sukienkę na otwarcie wystawy Rafaela.

Wydawało jej się niemożliwym, że widziała w Rafaelu kiedyś mężczyznę, który wyładowywał ciągle swoją złość. Po tym nie było już śladu.

„O ile było by mi łatwiej, gdybym mogła go nienawidzić” — myślała Christine.

„Chcę go nienawidzić, a muszę kochać! Mój Boże, jak mam to wytrzymać przez całe swoje życie?”

Przechodziła obok zamkniętych butików, zaglądała z tęsknotą do jasno oświetlonych kawiarni i restauracji, gdzie aúitenos ze swymi przyjaciółmi spędzali wieczór, rozmawiając i śmiejąc się.

Christine nie ważyła się wrócić do domu Carlosa, gdzie zostawiła auto Susan. Musiała długo czekać, aż upewni się, że nie spotka już Rafaela.

Dlaczego wrócił do Quito? Powinien już dawno być z Ewą w drodze do Paryża.

Carlos musiał mieć z tym coś wspólnego. Dlaczego jej to zrobił? Czy chciał spotkaniem z Rafaelem jeszcze raz zadać jej ból, choć wiedział doskonale, że jego brat nie odwzajemniał jej uczuć?

Innego powodu Christine nie umiała sobie wyobrazić. Ale jak zdołał Carlos nakłonić Rafaela do powrotu?

Christine nie zważała na to, gdzie się znajduje, biegła coraz dalej, aż wylądowała na jednej z wąskich, bocznych uliczek Calle de la Ronda.

Tutaj domy stały ciasno obok siebie. Ich mury promieniowały wciąż ciepłem, które zgromadziły podczas upalnego dnia. Christine czuła się tu bezpiecznie, światła ulicznych neonów nie kłuły jej w oczy. Stanęła przed jednym z domów z wąskimi oknami, żeby zaczerpnąć powietrza. Nagle poczuła, że jakaś silna dłoń chwyta ją i wciąga do bramy.

Chciała krzyknąć, lecz gdy zobaczyła kto ją chwycił, serce omal jej nie stanęło.

W ciemnym świetle ulicznych lamp patrzyła na Rafaela, który spoglądał na nią z trudnym do opisania blaskiem w oczach.

Rafael odciągnął Christine za ramię i przycisnął ją mocno do siebie.

— Querissima — mamrotał, a jego głos brzmiał surowo — dlaczego ode mnie uciekłaś? Strasznie się o ciebie balem, mi amore. Nie wolno ci tego robić.

Christine wydawało się, że źle słyszy. Czy to naprawdę Rafael trzymał ją w ramionach i szeptał delikatne słowa do ucha?

Była tak zaskoczona, że mogła tylko patrzeć na niego, nie dowierzając własnym oczom. Pragnęła jedynie, żeby powtórzył te słowa i żeby mogła mu znowu uwierzyć.

— Dlaczego... dlaczego jesteś tu znowu? — powiedziała w końcu. — Ty chciałeś przecież z Ewą do Rio i do...

— Ewa i ja? — Rafael spoglądał na nią zdziwiony. — Ewa jest w drodze do Rio na pokaz mody. Powiedziałem ci przecież, że jadę do Paryża sam.

— Ale tam, w biurze podróży, miałeś przecież dwa bilety w rękę — powiedziała Christine bez tchu.

Uśmiechnął się delikatnie i ujął jej twarz dłońmi.

— Querida, nigdy nie miałem zamiaru jechać z Ewą do Paryża. Jesteśmy zaprzyjaźnieni ze sobą od dzieciństwa, nic więcej.

— Ale ona tak nie myśli.

— Zgadza się. Próbowiałem Ewie wyjaśnić, że się myli, lecz ona nie chce tego po prostu słuchać. Pojmie dopiero wtedy, kiedy ożenię się z inną kobietą.

Christine oparła głowę na ramieniu Rafała.

— Czy to był Carlos? — zapytała. — Czy to on zawrócił cię do Quito?

Rafael milczał przez moment. Delikatnie odgarnął długie włosy Christine, które opadły jej na twarz, na bok.

— To była otwarta, jasna rozmowa, która sprawiła, że stałem się najszczęśliwszym mężczyzną tego świata. Gdyby Carlos zatelefonował godzinę później, nie zastałby mnie już na hacjendzie. Przegapiłbym najważniejszą noc mojego życia.

Christine zamknęła oczy. Miała wrażenie że śni, tak niewiarygodne było dla niej to wszystko.

— Bardzo się myliłem, Christine — powiedział Rafael spokojnie. — Myślałem, że Carlos ma zamiar ożenić się z tobą. Nigdy bym sobie nie pozwolił na to, aby wyjawić swą miłość kobiecie, którą kocha mój brat. To była dla mnie męka, uwierz mi. Kocham cię bardziej, niż cokolwiek na tym świecie. Wiem to od dnia, kiedy zobaczyłem cię na targu w Otovalo. Szedłem za tobą i obserwowałem, jak chodzisz od stoiska do stoiska i oglądasz wszystko błyszczącymi oczyma. Nie zauważyłaś mnie gdy przykucnęłaś na ziemi z wrzecionem w ręku, a ja cię rysowałem.

— Widziałam te szkice w twojej pracowni. I ten portret. Rafael, wyszedł wspaniale.

— Tak, portret — szepnęła i pocałowała ją w policzek. — Teraz mamy czas go dokończyć. To ma być mój najpiękniejszy obraz, świadectwo naszej miłości. I prezent na nasze wesele.

— Wesele? — Christine myślała, że się przesłyszała. — Powiedziałeś, że nigdy się nie ożenisz... Że żyjesz dla sztuki...

Uśmiechnął się do niej delikatnie.

— Od teraz będziemy musieli oboje ponosić ofia-

ry... Pierwszą z nich będzie, to że pojedziemy do Guayaquil i szybko się tam pobierzemy. Nie ma niestety czasu na należyte przygotowanie ceremonii, bo będziesz musiała pojechać ze mną do Paryża, pomóc mi w przygotowaniu wystawy.

Christine skinęła głową. Nie mogła jeszcze pojąć swego szczęścia.

Rafael wziął ją za rękę i poszli razem wymarłymi ulicami.

— Wiesz — odezwał się z uśmiechem — myślę, że będzie mi się podobało, jeśli przyzwyczaisz mnie do domu rodzinnego. — Zatrzymał się i chwycił ją za podbródek. — Ale pod jednym warunkiem, który muszę zaraz na początku postawić.

— Jakim? — szepnęła Christine ze strachem, że dopiero co rozpoczęty sen zaraz się skończy.

— Że nigdy nie będziesz zazdrosna o moją pracę. Bez niej nie potrafię żyć. Ale bez ciebie także, moja kochana.

— Nigdy nie mogłabym być zazdrosna o twój talent. — odpowiedziała ze łzami w oczach. — Rafael, kocham cię.

Wziął ją w ramiona i całował. Christine przytulała się do niego i miała uczucie, że rozpływa się w morzu nieopisanego błogości.

Kiedy w końcu ruszyli dalej, Rafael powiedział z roziskrzonymi oczami:

— Nie ma nic co mogłoby się równać naszej miłości. Chcę, żebyś zawsze była przy mnie, Christine.

I Christine wiedziała, że tym razem mówił prawdę.